

Cena 20 sant

NASZE ŻYCIE

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

Ryga, 27 czerwca 1937 r

№ 26 (132)

— „Wytrwać i wytrzymać do końca, zarówno wewnątrz jak i zewnątrz, przede wszystkim wewnątrz, t. zn. duchowo wobec samego siebie, pozostać wiernym sobie, pozostać wiernym swoim ideałom... Jeżeli Wam się to uda — a udać się musi — wtedy żadnemu życie nie wyda się ani płytkie, ani chłodne, ale będzie pełne ciepła i światła”.

Z przemówienia Prezydenta Państwa dr. K. ULMANISA w dniu 18. czerwca b. r. do młodzieży, kończącej szkoły średnie.



Prezydent Państwa Łotewskiego Dr K. Ulmanis

Obraz pędzla Liberta w pawilonie państw Bałtyckich na Wystawie w Paryżu

Brunon Nowicki

Fundusz kultury w Łotwie

Za „Polską Zbroją” (organem sfer wojskowych w Polsce) przedrukujemy artykuł p. Brunona Nowickiego, omawiający działalność Funduszu Kultury w Łotwie. Jakkolwiek artykuł ten nie obejmuje całości zagadnienia, a zwłaszcza ostatnich lat pracy Funduszu, to jednak jest on ciekawym przyczynkiem nasświetlającym tę kwestię.

Stworzenie odpowiednich warunków rozwoju rodzimej kultury dla państw, które po wojnie światowej zrzuciły obce jarzma i powróciły do samodzielnego życia, stanowiło zadanie pierwszej wagi. Obok organizacji armii, montowania aparatu administracyjnego, podźwignięcia gospodarki narodowej, zniszczonej tak wieloletnim prześladowaniem jak i burzą wojenną — stanęła potrzeba roztoczenia państwowej opieki nad własną kulturą, aby dać jej możliwość zajaśnieć pełnym blaskiem po latach gnębnie i szyskan. Organizacyjnie poszczególne państwa różnie rozwiązywały to swoje zadanie, nazwa jednakże „funduszu kultury” dla instytucji, której powierzano opiekę nad kulturą, jest niemal powszechna.

Łotewski fundusz kultury, którego organizację i działalność chcemy tutaj w krótkich słowach omówić, tworzył się w warunkach pod wielu względami podobnych do polskich oraz na ziemiach, bliższych nam tradycją i kulturą. Jednocześnie potrzeby i możliwości państwa łotewskiego, inna struktura budowy władz naczelnych i odmienne warunki ekonomiczne siłą rzeczy nie pozwalają na przeprowadzenie daleko idących analogii między instytucjami o jednoznacznych nazwach w Łotwie i Polsce.

Łotewski fundusz kultury powstał w samym zaraniu państwowości Łotwy, gdyż ustawa o jego założeniu została uchwalona 4 listopada 1921, jeszcze przez konstytuantę. Ustawa ta w ten sposób określa cel tworzonej instytucji: „Sumy, którymi fundusz kultury rozporządza, przeznaczone są na popieranie i szerzenie nauki, sztuki i oświaty, jak również na zasiłki dla pracowników naukowych i instytucji, na nagrody za wyróżnione prace, wynalazki i odkrycia, na stypendia dla kontynuowania studiów, na podróże zagraniczne w celach naukowych, na popularyzację nauki i sztuki oraz na wszelkie inne podobne cele dla szerzenia oświaty”.

Podstawę finansową funduszu kultury ustawa stworzyła w ten sposób, że uchwalila: a) 5 pct dodatek do opłat za przewóz towarów, bagażu i pasażerów na kolejach łotewskich (od opłat tych zwolnione tylko przewozy na rachunek państwa); b) 5 pct dodatek do cen napojów alkoholowych. Sumy, zebrane w ten sposób, miały stanowić fundament budżetu funduszu, ponadto otrzymał on prawo do pewnych dochodów niestających, jak darowizny, zapisy itp. oraz uprawnienia w dziedzinie pocztowej. Sytuacja ta zmieniła się z biegiem czasu, bo od roku budżetowego 1950—51 na drodze ustawodawczej cofnięto funduszowi kultury dochody z trzyprocentowego dodatku do opłat kolejowych i przekazano je funduszowi drogowemu.

Na czele funduszu kultury została ustanowiona rada. Członkowie rady za swoją pracę nie pobierają dodatkowego wynagrodzenia.

Budżet funduszu kultury, którego czasokres jest uzgodniony z budżetem państwowym, zostaje uchwalony na posiedzeniu rady i, jak wszystkie uchwały rady, opublikowany w „Dzienniku Urzędowym” („Valdibas Vestnesis”). Budżet ten po stronie wydatków dzieli się na takie pozycje: 1 — organizowanie bibliotek; 2 — pomoce naukowe dla szkół powszechnych, średnich i zawodowych; 3 — oświata pozaszkolna; 4 — stypendia dla studentów łotewskiego uniwersytetu, konserwatorium i akademii sztuk pięknych; 5 — pomoc dla teatrów Rygi i prowincji; 6 — subwencje dla towarzystw i instytucyj naukowych i oświatowych; 7 — zasiłki na cele wychowania fizycznego; 8 — subwencje dla wiejskich organizacyj kulturalnych, domów ludowych, scen oraz zakup instrumentów muzycznych, organizowanie kursów, czytelni i odczytów; 9 — badania Łotwy; 10 — nagrody za prace w najrozmaitszych dziedzinach nauki i sztuki; 11 — zasiłki na wydawanie książek i nut; 12 — zasiłki na podróże zagraniczne na studia.

Dochody z dwu podstawowych źródeł funduszu kultury na przestrzeni kilku lat przedstawia przykładowo poniższa tabela.

lata budżet.	z kolei żel.	z nap. alkohol.
1927/28	819.170,25	400.064,00*)
1928/29	872.946,40	1.127.261,64
1929/30	81.205,53	1.209.155,89
1930/31	—	1.054.495,74
1931/32	—	757.646,75
1932/33	—	592.924,02

W roku budż. 1952/53 z dochodów nadzwyczajnych funduszu kultury trzeba wymienić kwotę 75.000 latów, przekazaną mu przez fundusz do zwalczania alkoholizmu wśród ludności. W następnych latach budżetowych widzimy w związku z ogólnym kryzysem stopniowe obniżanie się wysokości wpływów.

Najbardziej charakterystyczny pod względem podziału sum jest rok 1927/28, w którym zasiłki przedstawiają się następująco (w liczbach zaokrąglonych — w latach):

Biblioteki ludowe	65.000
Biblioteki szkół powszechnych	40.000
Biblioteki szkół średnich i zawodowych	20.000
Pomoce szkołom powszechnym	56.000
Pomoce szkołom średnim i zawodowym	28.000
Oświata pozaszkolna	158.000
Wychowanie fizyczne	8.000
Stypendia dla studentów wyższych zakł. naukowych	105.000
Teatry na prowincji	95.000
Teatry w Rydze	58.000
Towarzystwa naukowe	17.000
Towarzystwa oświatowe na prowincji	170.000
Nagrody	13.000
Preremnata czasopism dla czytelników	60.000
Badania Łotwy i archiwów	25.000
Stypendia zagraniczne	60.000

W późniejszych latach budżetowych ważniejsze zmiany w podziale sum zasiłkowych zaszły w zakresie pomocy dla bibliotek, gdzie kwoty uległy zmniejszeniu oraz całkowicie znikły stypendia zagra-

TYDZIEŃ

niczne (wiąże się to w pierwszym rzędzie z obostrzeniami walutowymi).

Godnym podkreślenia jest fakt, że znaczna część sum łotewskiego funduszu kultury odpyływa na wieś: bezpośrednio do 40 pct, jeśli zaś wliczyć kwoty, które drogą pośrednią służą do zaspakajania potrzeb wsi — do 60—70 pct całego budżetu.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat swego istnienia (1922—1932) łotewski fundusz kultury stworzył około 8000 bibliotek ludowych, ponad 500 bibliotek w szkołach średnich i zawodowych i 2.000 bibliotek w szkołach powszechnych. Sieć biblioteczną objęła teren całego państwa, sięgając do najdalszych zakątków Łotwy.

Łotewski fundusz kultury na terenie wydawniczym prowadzi politykę popierania ruchu wydawniczego, drogą udzielania zasiłków zwrotnych ekwiwalentem książek, które stanowią potem materiał zasadniczy do tworzenia bibliotek. Jednakże fundusz podejmuje inicjatywę wydawniczą również i bezpośrednio, przeważnie w zakresie dzieł monumentalnych, i tak na przykład: Wielki Słownik Języka Łotewskiego w opracowaniu Milenbacha Endzelina, Bibliografia łotewskiej nauki i literatury A. Gintera oraz szereg innych dzieł wyszły nakładem własnym funduszu.

Nie chcąc mnożyć przykładów i wdawać się w szczegóły, ograniczymy się tutaj tylko do podkreślenia jeszcze paru charakterystycznych rzeczy z działalności łotewskiego funduszu kultury. Ów fundusz ostatnio przejął w dziedzinie plastyki inicjatywę w organizowaniu wielkich dorocznych salonów, obejmujących wszystkie dziedziny sztuk pięknych (ostatni salon otwarty w grudniu 1956 roku skupił 195 artystów i przeszło 550 prac). Wystawy te, dostępne dla wszystkich plastyków, niezależnie od ich przekonań artystycznych a poparte autorytetem organizatora, dają prawdziwy i całkowity obraz osiągnięć artystycznych.

W związku ze słynnym odwołaniem się prezydenta Karola Ulmanisa do ofiarności społecznej na rzecz szkolnictwa i oświaty ludowej, fundusz kultury stał się ośrodkiem wykonawczym całej akcji. Wielkie ilości darów w gotówce i w naturze — książek, pomocy naukowych, przedmiotów sztuki, instrumentów muzycznych itd. — przechodzą przez ręce funduszu, który skierowuje posęgowane oliary do odpowiednich placówek w terenie.

Trudno jest jeszcze dzisiaj powiedzieć, czy łotewski fundusz kultury całkowicie dobrze wykonał (bądź wykonuje) postawione sobie zadania. Jedno można stwierdzić z całą pewnością, że zrobił i robi bardzo dużo dla podniesienia na należyty poziom młodej kultury łotewskiej. Takie zaś osiągnięcia, jak np. stworzenie szerokiej sieci bibliotek, obejmującej najgłębsze nawet zakątki prowincji — należą niewątpliwie do pozytywnych i całkowicie udanych akcyj funduszu.

W ŁOTWIE

Oprawione komplety „Naszego Życia” i „Krasnoludków” za rok 1935 i 1936 w cenie po Ls 4.50 i Ls 1.- można nabyć w administracji „Naszego Życia”

Wiadomości bieżące

— Otwarcie Pawilonu Bałtyckiego (Łotwy, Estonii i Litwy) na Światowej Wystawie w Paryżu odbyło się 17. b. m.

— Międzynarodowe zawody hippiczne w Rydze odbędą się w dniach 21—29 sierpnia b. r. Po zawodach w Rydze ekipa łotewska wyjeżdża do Wiednia, gdzie odbędą się również międzynarodowe zawody hippiczne.

— W Nr. 169 „Rits'u” z dnia 22. b. m. czytamy w notatce z Kowna p. t. „Szybko ulaskawiony dziennikarz” co następuje: „W miesiącu maju za niecisłe i obrażające Łotwę artykuły redakcja „Lietuvos Aidas” zwolniła swego współpracownika J. Kusę, ponieważ zamieścił on te artykuły w urzędowym organie litewskim bez wiedzy redaktorów. W ub. tygodniu J. Kusa został ponownie przyjęty na pracę oraz kierownicy „Lietuvos Aidas'u” powierzyli mu znowu prowadzenie działu sportowego.”

— W ciągu pierwszych pięciu dni komunikacji powietrznej Ryga—Liepaja samoloty przewiozły 67 pasażerów.

— W r. b., zawdzięczając odpowiedniej akcji, podjętej przez Łotewską Izbę Rolniczą, z Łatgalii do Łotwy Centralnej na okres rolnych robót sezonowych wyjechało dwa razy więcej robotników, niż w r. ub. M. in. za czas od 15. maja do 15. czerwca b. r. wyjechało 2000 robotników.

— W przeciągu roku łotewski urząd telegraficzny nadał około 125.000 depech miejscowych, około 150.000 za granicę i około 100.000 depech, idących przez Łotwę tranzytem. Słowo miejscowej (w Łotwie) depechy kosztuje 6 sant., najmniejsza opłata za depezę (8 słów) wynosi 48 sant.

Z depech za granicę, najczęściej wysyłane są do Anglii (73 sant. za słowo).

Poza tym jedno słowo depechy do Grenlandii kosztuje Ls 1.82, do Afryki — Ls 8.37, do USA — Ls 2.52, na Syberię — Ls 8.50, do Australii — Ls 8.29 etc.

Mimo wielkich kosztów, łotewski urząd telegraficzny nadaje sporo depech do wszystkich krajów i części świata.

— O wzrastającym ruchu turystycznym świadczy m. in. ilość zarejestrowanych w Łotwie schronisk, wynosząca w r. 1935 — 357, w r. 1936 — 421 i w r. b. 449. W schroniskach tych w r. 1935 udzielono 34.956 noclegów 14.595 obywatelom łotewskim oraz 2390 noclegów 1378 obywatelom

obcym, w r. ub. zaś 19.016 obywatelom łotewskim i 1678 obcym (razem 38.397 noclegów).

Jeśli chodzi o turystów zagranicznych, to w r. 1935 liczba ich wynosiła 58.113, dochodząc w r. ub. do 65.174.

— Konferencja państw bałtyckich. Konferencja ministrów spraw zagranicznych Łotwy, Litwy i Estonii odbędzie się 1, 2 i 3 lipca br. w Kownie.

— Skład delegacji estońskiej. Pisma estońskie donoszą, że ze strony Estonii w konferencji ministrów spraw zagranicznych państw bałtyckich w Kownie weźmie udział: Rei, dr. Kaasik, Ojanson oraz posłowie estońscy w Rydze i Kownie — Menning i Oepik.

— Skład delegacji litewskiej. W skład litewskiej delegacji wejdą min. spraw zagranicznych Lozorajtis, sekretarz generalny M. S. Z. Urbszys, referent do spraw wschodnich Bredikis, dyrektor departamentu ekonomicznego M. S. Z. Norakajtis, poseł litewski w Rydze Wilejszys i poseł litewski w Tallinie Dajlide. Sekretarzem delegacji będzie dr. Baczkis.

Nie dość jest pismo CZYTAĆ, trzeba je jeszcze ROZPOWSZECHNIĄĆ wśród swoich bliskich i znajomych oraz samemu PRENUMEROWAĆ (t. zn. płacić za jego otrzymywanie).

Pamiętaj, że miesięcznie (cztery ładne, ilustrowane i bogate w treść numery) „Nasze Życie” kosztuje TYLKO 80 (osiemdziesiąt) santymów.

WYSZEDŁ Z DRUKU i jest do nabycia podręcznik:

„Ra chunki”, M. MAKOWSKIEGO

Drugi rok nauki na klasę I-szą dla polskich szkół podstawowych w Łotwie.

Wydawnictwo Związku Nauczycieli Szkół Polskich w Rydze.

Cena Ls. 1.20.

Zezwolony do użytku przez Ministerstwo Oświaty. Skład główny: KEMPE, Ryga, ul. Skolas 30.

Na niedzielę

Jedność jest większa...

— Jedność jest większa od dwóch — oto twierdzenie, które — żywcem przeniesione z nauk ścisłych na grunt społeczny — wydaje się być pierwszym i zasadniczym kanonem każdego zorganizowanego życia zbiorowego.

Podkreślamy; zorganizowanego.

Bo człowiek nie jest z natury swej samotnikiem, przeciwnie — należy do gatunku twórców lubiących towarzystwo, tłum, kompanów. Równiej i łatwiej maszeruje „w nogę”, w szeregu, razem z innymi, społem.

To jednak...

Iluz „dłkich” wśród swego otoczenia możemy naliczyć! Takich, co to uważają, że sami są dla siebie panami i bogami, że jest im dobrze w najbliższym otoczeniu, że organizacja dalszego życia — życia społecznego — jest całkiem zbędna.

Tacy, choć chodzą stadami, tylko na stado właśnie zasłużyli. Bo różni się ono mianowicie tym od zorganizowanego skupiska ludzi, że w nim — w stadzie właśnie — każdego dwóch stara się, nawzajem podważając jedność, wysadzić się ponad nią, wyrósć, zastąpić ją i zniweczyć, twierdząc, że dwóch to siła, większa od jedności.

Tymczasem spróbujmy to zestawić.

Co to jest jedność?

Jedność — to zorganizowana i w jednym kierunku skierowana potężna siła woli, panująca we wszystkich sercach wszystkich ludzi jednakowo wierzących, czujących i myślących;

jedność — to mocne dlonie, powiązane męskim uściskiem przy jednym plugu, którym wazycy pragną przeorać ten sam zachwaszczony ugór — ugór wspólnego życia;

jedność — to cel i drogi wiodące do tego celu jednakie dla wszystkich;

jedność — to wiara wreszcie jednocząca, łącząca i wiążąca wszystkich na śmierć i życie, a raczej — bądźmy optymistami! — na walkę i zwycięstwo.

A tamtych „dwóch”? To — jeden plus jeden, idący różnymi drogami, w różnych kierunkach, różnym bogom się modlący. Jak w tej bajce, w której ktoś wyrwa w powietrze, ktoś do wody, ktoś do błota...

Czyż po tym jeszcze można zaprzeczać, że jedność jest zawsze większa od dwóch? Że tylko mocne związanie jednością silnego łańcucha może nas wszystkich razem i każdego z osobna zaprowadzić do celu, do którego zdążamy?

Jedność jednakże nie jest prezentem, zrzuconym gwoli naszej zabawy przez łaskawe Niebo. Nie jest ona też przysłowiowym gołąbkim pieczonym, który tylko do buziuchny wziąć i schrupać...

W ciężkim trudzie dnia, w znojmym wysiłku szarych godzin żmudnej pracy wywalczając i budować ją trzeba z godziny na godzinę, od siebie samego rozpoczynając, po przez rodzinę, aż na społeczeństwie skończywszy.

Mało, że społeczeństwo jest tylko zorganizowane. Powinno ono być zorganizowane i scementowane tą jednością, która jest większą już nie tylko od dwóch, ale od setek i tysięcy nieraz luzem chodzących. Nie tylko bowiem legitymacja i deklaracja wiąże ludzi. Nie tylko organizacja. Wiąże — najmocniej — przeszłość wspólna, teraźniejszość twarda i przyszłość — taka, jaką sobie ją własnymi rękoma stworzymy. Wiąże wiara, wiąże tradycja, wiąże język. Wiąże wszystko, co krew z krwi i kość z kości z pokolenia na pokolenie przechodzi i zniewala i pozostaje — mimo wszystkie przeszkody, mimo wszystkie zewnętrzne okoliczności i siły.

Jeżeli te podświadome, te naturalne i najmocniejsze wiązanie, jak zgręby wznoszonego gmachu, zcementuje dobra forma organizacyjna i podstawowy warunek każdej organizacyjnej łączności, świadczący, iż jedność jest większa od dwóch, wtedy o los nasz możemy być spokojni, przyszłości swojej możemy być pewni.

Jeżeli...

Jeżeli każdy z nas osobno i wszyscy razem zrozumiemy wreszcie, że jedność zawsze jednak jest silniejsza, mocniejsza i trwalsza od dwóch. (mm)

Europa mówi

Po rozstrzelaniu sowieckich generałów

„Robotnik” — dziennik warszawski — pisze: Rozstrzelanie sowieckich generałów z marsz. Tuchaczewskim na czele wywołało naturalnie głośnie echa w całej prasie europejskiej. Góruje **OBURZENIE**.

Zdumienie ogarnęło Europę na widok masowo topionych wybitnych bolszewików. Np.

„SUDNAY TIMES”: „Ci, którzy czytali Tacyta, przypomną sobie, jakimi były ostatnie lata Cesarza Tyberiusza, który, po zdławieniu spisku swego najbardziej zaufanego ministra Senjusa, **POPADł W PSYCHOPATYCZNY STAN OBawy O WŁASNE BEZPIECZENSTWO**”.

Teraz zajrzyjmy do prasy francuskiej.

„Krwawy bizantyzm średniowiecznych tyranów — pisze D'Ormesson w prawniczym „FIGARO” — wykazał światu, że to, co zwykło się nazywać „demokracją sowiecką”, jest poprostu cofnięciem się Rosji do **CZASÓW IWANA GROźNEGO**”.

Radykalny „OEUVRE” pisze w nagłówku, że Stalin „**ZABIł PRESTIŻ międzynarodowy Związku sowieckiego**”. Dziennik zapytuje, co może być wart francusko-sowiecki pakt, jeżeli najwybitniejsi wodzowie armii sowieckiej rozstrzelani są za zdradę na rzecz Niemiec? Te same refleksje trapią napewno rząd Czechosłowacji.

Prawo-radykalna „REPUBLIQUE” twierdzi, że francuski sztab generalny zajmuje obecnie w stosunku do Moskwy całkowicie różne stanowisko od tego, jakie zajmował dotychczas.

Z socjalistycznej prasy niezmiernie ostry głos potępiania słyszymy ze szpalt „DAILY HERALDA”.

Bardzo ostro odgradza się od moskiewskich metod „SAZIALDEMOKRAT”, organ niemieckich socjalistów w Czechosłowacji itd.

Na zakończenie bierzemy do ręki (ostatni głos — oskarżyciela) moskiewską „Prawdę” z 11. czerwca. Wstępny art. pt. „**Kryzys cudzoziemskiego burżuazyjnego wywiadu**”. Same wymyślenia pod adresem oskarżonych. Czytamy:

„Najemnicy pewnego cudzoziemskiego państwa, najpodlejsi zdrajcy ojczyzny, otrzymali zadanie od swych panów — wszelkimi sposobami poderwać siłę czerwonej armii... itd. A potem: „Tuchaczewski, Jakir i inni — oto trzykrotnie godne pogardy, nienawistne imiona uczestników tego szpiegowskiego centrum faszystowskich wywiadowców... Ośmiu było szpiegów... A protesty zachodniej prasy, to „wrzask z powodu straconych szpiegów”. — „Dla wywiadowców kapitalistycznego świata nie będzie litości”. „Hydra szpiegostwa ma wiele głów, ale te głowy odrąbamy!” „sowiecki wywiad z Jeżowym na czele pokaże, do czego jest zdolny!”

W ostatniej chwili otrzymujemy numer sowieckiej „Prawdy” z soboty 12. b. m. Prawie cały numer

jest poświęcony wyrokowi. Cała masa rezolucyj poszczególnych fabryk p. t. „**Zdusić gadzinę!**” „**Psom psia śmierć!**” „**Żadnej litości dla zdrajców ojczyzny!**” „**Śmierć zdrajcom kraju!**” i t. d.

Wstępny artykuł zatytułowany: „**Za szpiegostwo i zdradę ojczyzny — rozstrzelanie!**” Czytamy w tym artykule:

„**Ostry miecz sądu spadł na głowy podlejszokowo-szpiegowskiej bandy. Łącznie z najohydniejszą gadziną Gamarnikiem, który zakończył życie samobójstwem, aby uciec od zdemaskowania i sądu, — tych 8 szpiegów popelniło najcięższe zbrodnie, jakie tylko sobie można wyobrazić. Jak judasze, za faszystowskie srebrniki sprzedali się wrogowi.**”

A w innym miejscu czytamy:

„**Wielkie nadzieje wiązali kierownicy jednego z obcych państw z obecnie zniszczoną wojskową grupką, która handlowała krwią dziesiątków tysięcy czerwono-armiejców.**”

W tym duchu jest utrzymany cały artykuł, wygrażający „Goebbelsom”. Artykuł woła: „**Psom — psia śmierć!**”

W tymże numerze znajdujemy kilka wierszy (!) pióra Demiana Biednyja i Bezmieńskiego. Ten ostatni w swoim „wierszu” żąda rozstrzelania „szpiegów”.

Jedna z cytowanych powyżej rezolucyj podkreśla zasługi naczelnika GPU Jeżowa i nosi tytuł: „**Robotnicze podziękowania pracownikom GPU i Jeżowowi.**”

Co się z nimi stało?

CO SIĘ STAŁO Z BLUECHEREM? Moskwa. Według komunikatu agencji TASS w pogrzebie siostry Lenina, Marii Ulianowej, wzięli udział: Stalin, Mołotow, Kaganowicz, Woroszyłow, Kalinin, Czubar, Mikojan, Jeżow, Antopow i wdowa po Leninie Krupskaja.

Nazwiska marszałka Bluechera komunikat nie wymienia wśród obecnych na pogrzebie najwyższych dygnitarzy sowieckich...

KOMISARZ ROSENHOLC — ZWOLNIONY. Moskwa. Korespondent PAT dowiadyuje się ze źródeł oficjalnych, że komisarz ludowy handlu zagranicznego Rosenholc został zwolniony z zajmowanego stanowiska. Następcą jego nie został wyznaczony.

Dalsza „czystka” w ZSRR

Paryż. — „Liberte” donosi z Moskwy o aresztowaniu gen. **Lewandowskiego**, komendanta okr. wojskowego zakaukaskiego, i generała **Bulina**, który był zastępcą rozstrzelanego generała Uborewicza.

Korespondent moskiewski „Temps” donosi, że w Moskwie wymieniają szereg nazwisk wybitnych dygnitarzy sowieckich, którzy mieli zostać ostatnio aresztowani. Poza nazwiskami: **Karachana**, b. ambasadora w Chinach i Turcji, **Rosenberga**, b. ambasadora w Hiszpanii, i **Krestinskiego**, b. ambasadora w Berlinie, wicekomisarza spraw zagranicznych, a ostatnio wicekomisarza sprawiedliwości, korespondent „Temps” wymienia nazwiska: **Paukera**, komisarza bezpieczeństwa państwa i szefa sekcji GPU, gen. **Haekera**, szefa departamentu zagranicznego w komisariacie obrony, **Łobowa**, wicekomisarza przemysłu leśnego, **Eliawy**, wicekomisarza przemysłu lekkiego, **Mukiewicz**, wicekomisarza przemysłu wojennego, a poprzednio dowódcy czerwonej marynarki, **Rudzutaka**, członka politbiura, **Bychowskiego**, jednego z wyższych funkcjonariuszy GPU, i **Sterna**, dyrektora departamentu w komisariacie spraw zagr., który jest osobistym przyjacielem Litwinowa.

Wszyscy wyżej wymienieni mieli zostać aresztowani: mają oni stanąć przed sądem w nowym, przygotowywanym obecnie procesie.

Korespondent „Temps” przytacza, że **Radek**, który został w ostatnim procesie skazany na więzienie, miał poczynić sensacyjne rewelacje, co do rzekomych wypowiedzi przeciwko Stalinowi róż-

nych osobistości obecnie aresztowanych.

Korespondent podkreśla, że w czasie wielkiego głodu w r. 1933., gdy wszystko w Rosji wydawało się zagrożone rozprzeżeniem, niewiele było wybitnych członków partii, którzy by nie odbywali między sobą rozmów i narad nad ewentualnym wyjściem z sytuacji, która się wówczas wydawała katastrofalną. Nie były to spiski, czy konspiracje. W każdym razie w rozmowach tych były dyskutowane poszukiwania rozwiązań.

Korespondent przytacza dalej, że pomiędzy czołowymi przywódcami partii bolszewickiej zawarto w r. 1917. zobowiązanie wzajemnego oszczędzania się. — Kamieniew i Zinowiew mieli pierwsi pogwałcić te zasady, gdy w r. 1925, na XIV kongresie partyjnym żądali kary śmierci na Bucharina. Wówczas Stalin wypowiedział się przeciwko temu. Natomiast w roku 1936., zarówno Zinowiew, Kamieniew jak i Piatakow oraz Murałow zostali skazani na śmierć.

Grupa stalinowska twierdzi, że przeciwnicy Stalina pierwsi złamali powyższe zobowiązanie, nie tylko przez żądanie kary śmierci na Bucharina, ale następnie przez zamordowanie Kirowa. Od czasu tego morderstwa Stalin stracił zaufanie do dawnych umów, zawartych pomiędzy „gwardią” bolszewicką.

Wreszcie korespondent podkreśla, że obecna krwawa czystka w łonie partii komunistycznej i aparatu państwowego spotyka się z dość przychylnym stanowiskiem młodej generacji bolszewików, ponieważ w ten sposób uwalnia się dla niej szereg naczelnich stanowisk.

NA SZEROKI

A Trocki mówi...

OCENA TROCKIEGO. POZĄTEK KOŃCA OBECNEJ DYKTATORY

Paryż, 13. 6. Havas donosi z Meksyku: Trocki oświadczył korespondentowi Havasa na temat ostatnich wydarzeń w Sowietach, że dyktator sowiecki po pozbawieniu głowy partii obecnie pozbawia głowy armii. Trocki wyraził się z wielkim uznaniem o zdolnościach i zasługach skazanych i absolutnie nie daje wiary wytoczonym oskarżeniom. Sądzi raczej, że była to sprawa rywalizacji pomiędzy Woroszyłowem a Tuchaczewskim. Trocki jest zdania, że Woroszyłow okaże się w razie wojny nieudolnym dowódcą, ale że jest nadzwyczaj uległy wobec Stalina. Wywody swe Trocki zakończył następującymi słowami: „**Gdy biurokracja jako całość jest całkowicie uniezależniona od ludu, biurokracja wojskowa chce się uniezależnić od biurokracji cywilnej. Za tym podłożem ostatniego procesu był konflikt pomiędzy Biurem Politycznym i Woroszyłowem a kwiatem dowództwa czerwonej armii, który wszrząśnie ją moralnie aż do podstaw. Interesy obrony kraju zostały poświęcone interesom zachowania władzy przez klikę rządzącą. Po procesie Zinowiewa, Kamieniewa, Radka i Piatakowa, proces Tuchaczewskiego i towarzyszy oznacza początek końca obecnej dyktatury.**”

Listy z Hiszpanii

Na polach „próbnej

Wojna domowa wciąż się jeszcze toczy ze zmiennym dla walczących szczęściem. Nie bez racji nazwano ją „**próbna wojna europejską**”. Tylko przez pierwszych parę miesięcy ub. lata Hiszpanie wojawali między sobą sami. Od jesieni zaczęły im pomagać państwa obce: powstańcom — hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy, a lewicowemu rządowi — komunistyczna Moskwa. Żaden stąd jednak stanowczy zwrot w wojnie domowej nie nastąpił. Podobnie jak przed tym siły hiszpańskich prawicowców i lewicowców, tak później także posiłkujące ich siły niemieckie i moskiewskie okazały się równe i żadna z nich drugiej pokonać nie była w stanie. Powstańcy podeszli w prawdzie pod stolicę Madryt, ale czerwoni z pomocą sowiecką tak zacięcie go bronili, że dotąd nieszczęśliwe miasto leży na linii bojowej i prawie codziennie jest bombardowane.

Później, gdy wojna coraz bardziej się przewlekała, Moskwa dla pewnych względów swej polityki postanowiła zrobić Niemcom i Włochom uprzejmość i oświadczyła, że więcej hiszpańskiej komuny popierać nie będzie. Niemcy i Włochy bardzo się z tego ucieszyli i zgodzili się między sobą, że także Niemcy wycofają się z Hiszpanii, a pozostawią ją Włochom. Wtedy Włosi przystali do Hiszpanii większe swoje oddziały wojskowe i powstańcy z ich pomocą zaczęli lewicowców bić. Zdobyli na południu kraju miasto Malaga. Ale te powodzenia trwały tylko dopóty, dopóki Moskwa i Niemcy nie stanęły sobie w Hiszpanii na uboczu, zachowując tam swoje wojska, lecz unikając większych bitew.

Potem znów się odwróciła karta w ogólnej polityce międzynarodowej. Rosja uznała za właściwą znów podjąć walkę z Niemcami i Włochami i wydała rozkaz swym wojskom w Hiszpanii, **żeby całą siłą poparli zaczynających już słabnąć rządowców. Rzeczywiście, przeszli oni do ofensywy, odparli powstańców, którzy już zaczęli okrażać Madryt, uderzyli na powstańców na południu pod miastem Granada i Kordoba i w ogóle zdawało się chwilami, że osiągną nad powstańcami przewagę. Mogło tak być głównie dlatego, że, choć w tym czasie rządowcom znów pomagała Moskwa, ale Niemcy wciąż trzymali się na uboczu, bo przyznali Hiszpanię Włochom, więc uważali, iż Włosi przede wszystkim powinni pomagać powstańcom. Włosi pomagali, ale okazali się zbyt słabi wobec rządow-**

M ŚWIECIE

Wieści z Polski

CAŁE WYBRZEŻE POLSKIE nawiedziła w czasie Zielonych Świąt wielka burza gradowa, a później ulewa z oberwaniem się chmury, co wywołało przejściową powódź. Woda zalała kilkadziesiąt domów, poprzerywała tamy, powywracała studnie drzewa.

W JESIENI UKOŃCZONY będzie na Wiśle most pod Plockiem długości 620 m.

TEGOROCZNA PIELGRZYMKA na Jasną Górę i ślubowanie młodzieży akademickiej odbyły się 27. maja.

POLSCY LEKKOATLECI ATRAKCJĄ OB-CYCH BOISK. Na wielkie zawody lekkoatletyczne w White City Stadium w Londynie w dn. 2. sierpnia (startowali już w tych zawodach z wielkim powodzeniem Polacy: Kusociński, Noji, Kucharski i Heliasz) wyjedzie pięciu zawodników polskich: Noji, Kucharski, Sznajder, Lokajski i Turczyk.

Po raz pierwszy Anglicy zwracają zaproszonym gościom koszty przejazdu i utrzymania.

TEGOROCZNE X-TE Z KOLEI MIĘDZY-NARODOWE ZAWODY KONNE W WARSZAWIE zakończone ostatnio w znakomitych Łazienkach, przy udziale jeźdźców polskich, lotewskich i rumuńskich, przyniosły szereg niespodzianek i były tym ciekawsze, że na liście zwycięzców spotykamy często nazwiska dobrze znane również naszym Czytelnikom, którzy niejednokrotnie podziwiali niejednego z niżej wymienionych jeźdźców w Rydze.

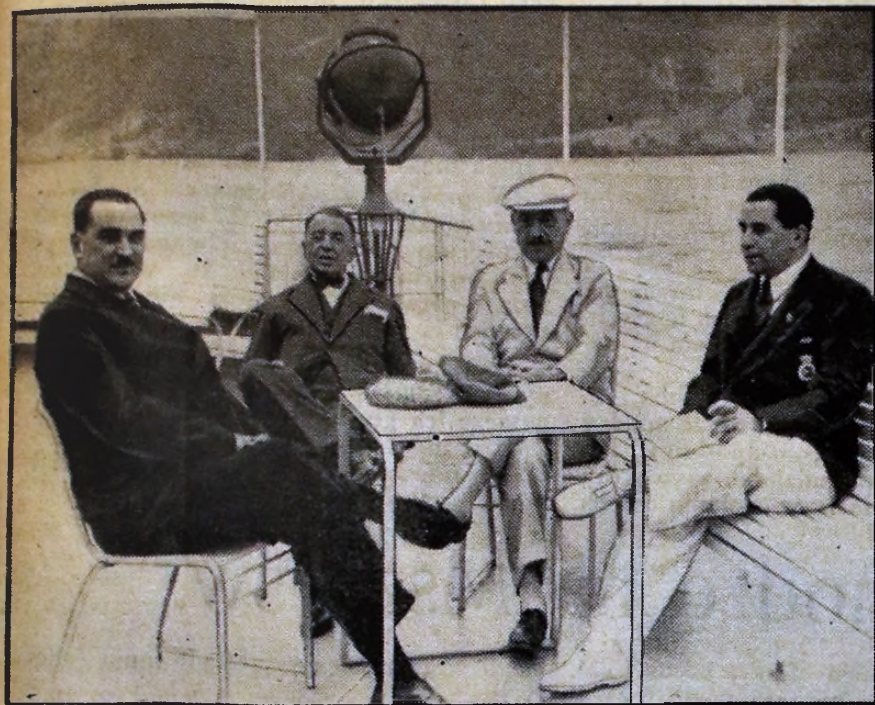
Notujemy rezultaty niektórych ciekawszych konkurencji ze stadionu łązienkowskiego w Warszawie. W ciężkim konkursie potęgi skoku pierwsze miejsce zajął znany z nieudanych popisów w Rydze Niemiec — Temme na Nordland (0 błędów). Drugim, trzecim i czwartym miejscem podzielili się Rang — Rumunia, vlt. Ozols — (Łotwa) na Nargusie i por. Apostol (Rumunia) — wszyscy po 4 błędy.

W konkursie Łazienek dla pań i jeźdźców cywilnych (wygrał — Strzeszewski) triumfowali Polacy, zajmując 8 pierwszych miejsc.

W konkursie szybkości znowu triumfuje Niemiec — Temme. Udział brało 137 koni. Na drugim miejscu uplasował się Polak — ppor. Wołoszynowski. Na dalszych — Rumuni. Wstęgi honorowe otrzymało 12 jeźdźców, w czym dwóch Rumunów, czterech Łotyszów i siedmiu Polaków.

Konkurs Armii Polskiej, w obecności marszałka Śmigłego-Rydza, wygrał por. Komarowski (na Zbój i Zbiegu), na drugim miejscu — Rumun, na trzecim — vlt. Pencis (Łotwa) na Mikelis i Indulis, czwarte i piąte dzieła por. Rylke (Polska) i vlt. Ozols (Łotwa) na Auseklis i Nargus. Dziesięciu jeźdźców otrzymało wstęgi honorowe (5 Polaków, 4 Rumunów i 1 Łotysz).

W konkursie o nagrodę Polski (Puchar Narodów) im. Prezydenta Rzeczypospolitej zwyciężyła ekipa rumuńska (27, 3/4 punktów karnych), na drugim miejscu ulokowała się ekipa polska (36 pkt.) i na trzecim — lotewska (48).



Konferencja ministrów spraw zagranicznych Małej Ententy na Dunaju. Na zdjęciu z lewej: minister Stojadinovic (Jugosławia), Antonescu (Rumunia), Hodža (Czechosłowacja) i premier rumuński Tatarescu

wojny europejskiej

ców, którzy mieli sowieckie czolgi i sowieck. oficerów.

W obawie przed zwycięstwem komuny w Hiszpanii Włochy i Niemcy udały się wtedy do międzynarodowego Komitetu Nieinterwencji w Londynie. Oświadczyły tam, że teraz już się zgadzają, żeby ich okręty wojenne wespół z angielskimi i francuskimi zablokowały porty w całej Hiszpanii, żeby na granicach lądowych ustawić specjalne strażę i nie wpuszczać więcej do Hiszpanii ani wojsk ani narzędzi wojennych obcych. Z góry można było przewidzieć, że taka blokada wyjdzie bardziej na niekorzyść czerwonych niż powstańców, bo czerwoni posiadają mniejszą część kraju, są mniej zasobni i między sobą niezgodni. Rzeczywiście, po paru tygodniach blokady ofensywa czerwonych ustala (bo ustaly dowozy broni i posiłków z Rosji), więc znów powstańcy poczęli działać zaczepnie. Obecnie zdobyli nad północną granicą Hiszpanii port Bilbao oraz opanowują kraj Basków pod górami Pirenejskimi.

Co najgorsze dla rządowców, że brak między nimi zgody, to też w ich obozie zapanowało widoczne zniechęcenie i wybuchną rozłam. Anarchiści, którzy już przed tym przewodzili pośród rządowców i tylko przez Moskwę przymani byli w posłuszeństwie, teraz je złamali, cofnęli swoje oddziały z frontu i prawie już zdobyli całą prowincję Katalonię wraz z jej stolicą Barceloną. Miejscowy prowincjonalny rząd kataloński chcą anarchiści obalić i sami objąć władzę nad całą prowincją. Rząd główny lewicowców przeważający w mieście Walencji, posłał do Katalonii swe wojska, ale czy one stłumią bunt anarchistów, to się dopiero okaże.

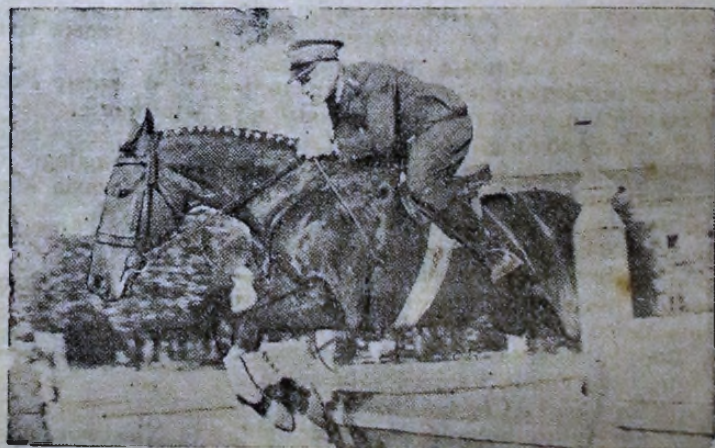
Ten rozłam może się bardzo przyczynić do zwycięstwa powstańców w Hiszpanii. A. P.

ZNANE ZDROJOWISKO DRUSKIENIKI obchodzi w bieżącym sezonie 100-lecie swego istnienia. Obchód jubileuszowy obchodzono 30. V. Na domu, gdzie mieszkał Marszałek Piłsudski, odsłonięto tablicę pamiątkową.

WSKUTEK UDERZENIA PIORUNU wybuchł olbrzymi pożar w rektyfikacji spirytusu „Akwa-wit” w Poznaniu. Pożar wyrządził szkodę sięgającą kilku milionów złotych. Przyczyną katastrofy był grom, który uderzył w zbiornik spirytusu, zawierający około 2 miliony litrów. Pożar przenosił się bardzo szybko na sąsiadujące z zakładami rektyfikacyjnymi zakłady litograficzne, które również spłonęły doszczętnie.

W WARSZAWIE otwarto nową linię tramwajową do Wilanowa.

X-te Międzynarodowe Zawody Konne w Warszawie. Jeden z jeźdźców polskich — rtm. Sokołowski w skoku przez przeszkodę.



Konkurs pożegnania wygrał por. Wołoszynowski, drugi — Gutowski (Polska). Z lotewskich jeźdźców vlt. Robers na Orienti zdobył czwarte miejsce, vlt. Broks na Klaipe 18-te i na Nameju 20-te miejsce.

W konkursie zwycięzców (28 uczestników) na pierwszym miejscu znalazł się Rumun, na drugim Niemiec (Temme), na trzecim — vlt. Ozols na Nargusie (Łotwa).

Nagrodę miasta stołecznego Warszawy zdobył mjr. Lewicki na Dunkanie.

Wiadomości bieżące

PRZEDSTAWICIEL ARMIJ WŁOSKIEJ w Warszawie płk. Marazzani wręczył na specjalnej audiencji Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi srebrną podobiznę starożytnego miecza rzymskiego, jako dar rzymskiego wojska.

W PARYŻU odbyło się parafowanie nowego traktatu handlowego i nawigacyjnego między Polską a Francją.

POD NAZWĄ „TWORZĄCY NARÓD” (Schaffendes Volk) otwarto w Niemczech w Düsseldorfie wystawę państwową, która w 42 pawilonach daje przegląd prac, dokonywanych na wszystkich polach techniki i życia, a głównie wystarczalności surowców i wytwórczości materiałów zastępczych. Wystawa zajmuje powierzchnię 780.000 m. kw.

Dział religijny

Ewangelia na szóstą niedzielę po Zielonych Świątkach

zapisana u św. Marka w rozdz. 8, w. 1-9

W on czas: Gdy koło Jezusa zgromadziła się mnoga rzesza, a nie miała co jeść, przywołał uczniów i rzekł im: Żal Mi ludu, bo już od trzech dni trwa przy Mnie, a nie ma co jeść. A jeśli ich puszcze zgłodniałych do domów swych, w drodze zesłabną, bo niektórzy przybyli z daleka. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Skądże mógłby kto nakarmić ich chlebem tu na pustkowiu? A On ich zapwał: Ile macie chlebów? — Oni zaś odrzekli: Siedm. Polecił tedy rzeszy, by usiadła na ziemi, a biorąc siedm chlebów i dzięki czyniąc, łamał i rozdawał uczniom swoim do rozdzielania; a oni podawali ludowi. Mieli też trochę rybek; te także pobłogosławił i polecił rozdać. Jedli tedy i nasycili się, a z resztek ułomków zebrano siedm koszyków. A tych, którzy się posilili, było około czterech tysięcy; i rozpuścił ich.

NAUKA

Siedmiorgiem chleba i odrobina rybek P. Jezus nakarmił 4000 ludzi. A po nakarmieniu zostaje jeszcze 7 koszy ułomków.

Każdego roku Ojciec Niebieski cud ten nam powtarza! Każdego roku odnawia cud ten na polach naszych, dając w zamian za ziarno siewne, za saletrę, za ziemię i za pot ludzki — bogate plony żniwa. Do ostatniego centnara przeliczamy każdego roku te cudowne plony. Lecz iluż z nas, patrząc na ten corocznie powtarza-

jący się cud, zauważa jeszcze twórcę tego cudu? Iluż z nas poczuwa się jeszcze do obowiązku dziękowania za szczodroliwość Bożą?

Cud pomnażania chleba powtarza się nie tylko roku każdego na polach naszych. Cud ten powtarza się każdego dnia na naszych ołtarzach.

Rozmnożywszy siedmioro chleba, P. Jezus rozkazał uczniom rozdzielać między głodną rzeszę. Następcom apostołów, kapłanom przypadł w udziale zaszczytny obowiązek mnożenia i rozdzielania chleba

eucharystycznego między wiernych. Tu i tam jest chleb. Tam na polach — chlebem jest pokarm ciała. Tu na ołtarzu, w kościele, chlebem jest pokarm duszy. O jeden i o drugi modlimy się my, chrześcijanie, w codziennej modlitwie! Dawcą jednego i drugiego chleba jest Bóg.

Gdzie tylko głód ludzki — głód ciała czy głód duszy: — Bóg wszędzie śpieszy z pożywieniem. Wszelki chleb z Jego pochodzi ręki. Chleb, którym pierś matki dziecię karmi w kołysce — i Chleb, który kapłan niesie do łoża umierającego.

W przybytku najświętszym St. Testamtu na złotym stole stało bezustannie 12 poświęconych chlebów. Dwunastu językami proroczymi chleby te wołały do ludu wybranego: **Bóg twój nie pozwolił eierpieć ci głodu! Wierz mu i ufaj.**

Z naszych ołtarzy Chleb Eucharystyczny tym samym mówi językiem: „Jeżeli puszcze ich głodnych do domu, ustana na drodze, nie dojdą do domu; nie zdążą do celu ostatecznego, bo z daleka przyszli i w dal wielką idą.

Rozmyślania

Po co przychodzę na Mszę św.

Dotąd przychodziłem na Mszę św. by się pomodlić. Dzisiaj następuje we mnie wielka przemiana duchowa... Nastawiam moje myśli i uczucia na ton ofiarny. Przychodzę nie na modlitwę, lecz po to, by złożyć ofiarę. Dlatego też w duchu ofiary do Mszy św. się przygotowuję.

W jaki sposób zdobyć ducha ofiary w czasie Mszy św.? Przejmę się duchem ofiarnym Chrystusa. Już w domu, rano, gdy zbudzę się ze snu, wstaję, ubieram się z tym radosnym uczuciem, że dziś wspólnie z kapłanem i wiernymi składać będę Bogu u stóp ołtarza ofiarę z moich prac, trosk i radości całego tygodnia a również moje pragnienie zgody i braterskiego pojednania.

Jakież bardzo myśl ta uszlachetnić może moją wobraźnię i skłonić mnie do przybrania postawy na baczność przed moim Bogiem. Pokonuję moją opieszałość, brak porządku, moją niepunktualność, zwyciężam wszelkie przeszkody na drodze np. niepogodę i idę, by Panu i Bogu mojemu złożyć ofiarę. W kościele trzymam na wodzy moją wobraźnię, by nie odbiegała od akcji mszalnej, poskracam wzrok, ciekawość, wygodę, bo całym moim wewnętrznym skupieniem, odpowiednią postawą ciała chcę Bogu i ludziom zadokumentować, że spełniam należny Bogu akt, składam ofiarę, człowiek — Bogu, stworzenie Stwórcy i łączę ją z Najświętszą Ofiarą Chrystusa. Tak usposobiony nie tylko biernie Mszy św. słucham, ale duszą i ciałem biorę w niej najwyższy udział.

U Bożego ołtarza zapalam pochodnię wiary i w świetle wiary i z usposobieniem pokory przechodzę po kolei wszystkie modlitwy Mszy św., wydobywając ze serca szeroką skalę stosownych, harmonijnych tonów — uczuć świętych i czystych. Modlitwy Mszy św., choć tak różne pod względem treści i formy, mają jedną, wspólną idee: skierowują myśl moją do

złożenia ofiary. Idea ofiary, jakby nic złota, przewija się poprzez modlitwy i łączy wiernych z bezkrawawą ofiarą Chrystusa.

Ofiaruję więc Bogu:

W czasie odmawiania psalmu 42: Moją tęsknotę za Nim.

W czasie Confiteor — moje tży, skruczę, żal za grzechy i szczere a stanowcze postanowienie naprawy życia.

W czasie Kyrie — moją niezłomną nadzieję w miłosierdzie Boże.

W czasie Gloria — moją cześć dla Bożego Majestatu (razem z całą przyrodą).

W czasie Lekcji i Ewangelii — pokorę umysłu wobec prawd wiary i moralności.

W czasie Credo — moją żywą wiarę w Boga.

W czasie Ofiarowania — siebie i drugich.

W czasie Prefacji — wdzięczność i uwielbienie.

W czasie modlitw za Kościół — ogólne sprawy całego Kościoła.

W czasie Memento za żywych — najbliższych.

W czasie Memento za zmarłych — zmarłych.

W czasie „Nobis quoque”... siebie sa-

A. Anik-Nikończuk

Mądrość prawdziwa

O Niestworzony Rozumie Nieskończony, Sam w sobie istniejący z wieków, po wiek wieczny,

Splywasz ku mnie miłością wielką

Nieogarniony umysłem, światłem

nadświeczny!

Jak korzeń głęboko pije żyzne soki,

By obudzić kwiat serca, co spało w

spowiciu,

mego wraz z chęcią naśladowania świętych.

W czasie Pater noster — chciałbym, by Kościół w okresie zmagania społecznego i komunizmem i masonerią wyszedł zwycięsko, by królestwo Boże krzepło i rozwijało się na ziemi. Składam więc w ofierze moje prośby: O większą cześć dla imienia Bożego, o spełnienie się wszechmocnej woli Boga nad światem, o chleb powszedni, odpuszczenie grzechów, o ducha przebaczenia, o zwycięstwo we walce ze złem.

W czasie Pax Domini — moją modlitwę o pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowym.

W czasie Komunii — przyjmuję Chrystusa-Boga do serca rzeczywiście, lub duchowo, i w ten sposób najlepiej korzystam z owoców Chrystusowej ofiary.

W czasie Ite, missa est — raz jeszcze moją wdzięczność za udział w Mszy św.

W czasie błogosławieństwa — siebie.

Tak więc jest Msza św. nie tylko zbiorem modlitw, ale jest jednym zwartym aktem ofiarnym wiernych, jest silnym przeżyciem religijnym żywych członków Chrystusowego Kościoła.

X. W. Sobiecki

Tak ja Twej Mądrości pochłanianem

O szczęściu nad szczęściami i o innym

Biorę wszystko od Ciebie z wiarą ślepią

Bo chcę dojść do Nieba, i tam mieć

I zlać się na wieki z MADROŚCIĄ

PRAWDZIWA

Kropla nikla — w ogromu górnym

OCEANIE

Janusz Meissner
NOWELA

(Dokończenie)

C I E Ń

Strzałka manometru po lewej stronie zawahała się i opadła szybko do zera.

Pan zna, panie kapitanie, to uczucie, które ogarnia pilota w podobnych sytuacjach, to podniecenie, które przecież nie jest strachem. Myśli się wówczas intensywnie i szybko, mając świadomość, że oto skończyło się nagle coś, co działa się powoli, a zaczyna się akcja prędką, wymagająca natychmiastowego działania i krótkiego, lecz dużego wysiłku woli, nerwów i mięśni.

Jedyną obawą, której doznajemy w takich wypadkach, jest obawa o resztę załogi: czy zrozumieją od razu, o co chodzi, bo przecież nie ma czasu by im to wytłumaczyć; czy nie stracą głowy i nie utrudnią przez to sytuacji; czy dadzą sobie samą radę, bo na pomoc może być za późno.

Z Nowackim nie miałem kłopotu pod tym względem. Zanim zdołałem go zapytać, już sam mi powiedział, że do lotniska mamy 70 kilometrów i że według jego obliczeń właśnie wchodzimy nad poligon.

Jak pan widzi, sytuacja nie była groźna, jeśli chodzi o porzucenie samolotu i skok na spadochronach. Wysokość mieliśmy dość dużą, a upadek maszyny na poligonie nikomu nie mógł wyrządzić szkody. Natomiast ani o lądowaniu na osłep we mgłę, ani o tym abyśmy mogli dociągnąć do lotniska nie można było nawet myśleć.

Powiedziałem do Nowackiego: — Skaczcicie obaj. Ja zaraz za wami. Odnajdziemy się na ziemi. Idźcie w kierunku południowym: tam spadnie samolot.

Nowacki wahał się przez sekundę i, wydało mi się, że jest bardzo wzburzony, ale nie nie odpowiedział. Widziałem, jak szedł do kabiny nawigacyjnej, poczułem że otwierają się zewnętrzne drzwi i że nagle samolot robi się lżejszy w ogniu. Byłem pewien, że obaj wyskoczą.

Wtedy jeszcze raz próbowałem dodać gazu. Ponieważ jednak prawy silnik trząsnął niemożliwie, lewy zaś mógł się zatrzeć ła-
da chwila z braku smaru, porzuciłem ostatecznie wszelką myśl o ratowaniu samolotu.

Wyłączyłem iskrowniki. Zamknąłem dopływ benzyny. Zamocowałem drążek sterowy, aby maszyna nie straciła równowagi gdy będę przechodził ku tyłowi i aby poszła w dół zaraz gdy skoczę. Rozumie pan: obawiałem się, że zniszcie ją z nad poligonu zanim nastąpi zderzenie z ziemią, a nie chciałem do tego dopuścić.

Naturalnie wszystkie te czynności zajęły mi o wiele mniej czasu niż opowiadanie o nich, chociaż wcale się nie śpieszyłem nadmiernie. Miałem, widzi pan, jeszcze z 700 metrów, a może nawet więcej.

Trochę się bałem, żeby mi maszyna nie zrobiła jakiegoś kawału w ostatniej chwili, gdy będę wstawał od sterów i przechodził przez ciasne drzwi do kabiny nawigacyjnej. Mogła przecież pójść w karkociąg, choć to mało prawdopodobne, i wtedy trudno by mi było dotrzeć do wyjścia.

Nie podobnego zresztą nie nastąpiło. Sunęła skośnie w dół i przy ostatnim rzucie oka na wysokościomierz stwierdziłem, że obniżyła się o sto metrów. Przebyłem w dwóch susach pustą kabinę i u progu

otwartych nad czarną przepaścią drzwi potknąłem się o coś.

To był spadochron.

Teraz już nie było czasu do namysłu. To też wszystkie trzy możliwości związane z tym faktem jednocześnie mi się narzuciły. Albo jeden z członków naszej załogi stracił głowę i skoczył bez spadochronu, albo w gondoli był jeden spadochron zapasowy; albo wreszcie ktoś jeszcze jest na pokładzie.

Obejrzałem się po mrocznym wnętrzu. Było puste, o ile mogłem stwierdzić z tego miejsca, nie zaglądając za wyrzutnię bomb.

Zawolałem głośno, czy kto jest w gondoli. Odpowiedziało mi wycie pędu z za otwartych drzwi. Zrobilem jeden krok w stronę wyrzutni i w tej chwili maszyna pochyliła się gwałtownie w bok. Straciłem równowagę, zaczepiłem o leżący u moich nóg spadochron i runąłem w próżnię.

Zmiotło mnie w tył. Zdążyłem dostrzec jeszcze śmigła obracającej się wskutek inercji i naporu powietrza. Potem olbrzymia czarna masa samolotu śmignęła nade mną oddalając się szybko, podczas gdy ja zapadałem na przestroni.

Ogarnął mnie ostry, aż bolesny prąd zimnego wicheru i gęstniał z każdą sekundą, rwąc około mnie huraganowym, twardym cwałem. Instynktownie szukałem oparcia, chciałem zmienić pozycję, chciałem „usiąść” lub „stanać” podczas gdy spadałem głową i plecami w dół. Nogi i ręce ciążyły mi straszliwie. Nie mogłem wyprostować karku i zdawało mi się, że nie zdołam osiągnąć klamry otwierającej bezpiecznik spadochronu.

To paraliżujące wole uczucie, uczucie już nie strachu, który bądź co bądź zmusza do jakiegoś działania, lecz zgrozy — staje się zapewne przyczyną śmierci jednego z nas. I — gdybym wówczas nie zdobył się na największy wysiłek woli, jaki kiedykolwiek w życiu uczyniłem — nie rozmawiałbym teraz z panem, kapitanie. —

Wytrząsał fajkę o brzeg biurka i sięgnął po kapiuczy z tytoniem. Ubiął go wolno, systematycznie, następnie zaś, mruknąwszy „dziękuję”, gdy mu podałem ogień, mówił dalej.

— Wyrwałem tę klamrę z taką siłą, że omal nie wywichnąłem ręki. Wtedy zobaczyłem obok siebie biały obłoczek jedwabiu uciekający w górę. Za nim rwał cały strumień białej materii. Chlasnęły linki. Wybuchnął nade mną z hukiem ogromny kłosz, szarpnęło szelkami, wykręciło mną młynca, że omal nie popękały napięte aż do bólu ścięgna i mięśnie. zakolysało tam i z powrotem.

Musiąło to już być nisko, bo zaraz zobaczyłem ziemię i wyładowałem dość szczęśliwie na krzakach olszyny.

To, co patrząc z samolotu uważaliśmy za niską przyziemną mgłę, okazało się cienką warstwą chmur, która sunęła wolno na wysokości jakichś dwustu metrów. Pomyślałem wtedy, że trzeba było jednak zaryzykować lądowanie i — choć w tym nie było przecież mojej winy — robiłem sobie wyrzuty z powodu straty samolotu.

Zacząłem nasłuchiwać, czy nie dojdzie mnie odgłos jego upadku, bo słusznie przypuszczałem, że prędzej niż on znalazłem się na ziemi. Jednocześnie wróciła mi myśl o spadochronie, który znalazłem w kabine nawigacyjnej.

— Niepokój o resztę załogi — szczególnie o Nowackiego, bo przypuszczałem że Morawa skakał pierwszy i wiedziałem, że jest doświadczonego podoficerem — niepokój ten skłonił mnie do natychmiastowego działania pomimo bólu we wszystkich członkach. Ruszyłem w kierunku południowym, orientując się według wiatru, gdy wtem usłyszałem z daleka naprzeciw mnie lecący samolot.

Nie było by w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że leciał bardzo nisko i że jego silniki były zupełnie rozstrojone.

W kilka sekund później maszyna przeszła tuż nade mną w lekkim skreśleniu, ślizgając się na prawo skrzydło. Poznałem ją mimo ciemności: to była moja FG-32. A przecież wyłączyłem oba silniki przed skokiem...

Zrozumiałem wszystko z przerażającą jasnością w ułamku sekundy i zacząłem biec: za sterem siedział Nowacki.

Och, to nie jest historia dla sądu i dla komisji badań wypadków lotniczych. Nie powinienem być jej w ogóle opowiadać. Nie uwierzę mi naturalnie. Nie umiałem ich przekonać i nie miałem żadnych dowodów. Ale pan — niech pan sam powie, czy mogło być inaczej?

Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy Herbert okazał wzruszenie. Patrzył na mnie z wyrazem niepokoju i niepewności. Czy mu uwierzę? Pozbył się nagle swego ostrożnego sposobu bycia i swej powolności. Przeształ szukać słów i miarkować głos. Zauważył to jednak zaraz i, zmieszany, umilkł.

— Niech pan mówi — powiedziałem, kładąc mu dłoń na kolanie. — Ja panu wierzę.

Uspokoił się szybko. Kiedy zapalał po raz już nie wiem który gasnącą fajkę, ręce nie drżały mu ani trochę.

— Więc tak — mówił dalej, zupełnie już opanowany. — Nowacki został na pokładzie. Zapewne stał za wyrzutnią w chwili gdy wypadłem z samolotu. W każdym razie twierdzą — jestem pewien — że został umyślnie. Żeby choć raz w życiu poprowadzić maszynę samemu, na własną odpowiedzialność; jak to sobie wymarzył: jak to sobie może postanowił i czekał tylko okazji; choćby za cenę życia.

Kiedy zobaczył, że mnie wymiotło z pokładu jak sнопек słomy, wślizgnął się za ster. Znał dobrze ten samolot. Godzinami na ziemi przesiadywał na miejscu pilota i zanudzał wszystkich pytaniami o armaturę i urządzenia sterowe.

Śmigła obracały się jeszcze. Wystarczyło włączyć iskrowniki i utworzył kran benzyny, aby silniki zaczęły pracować. Nawet przy tak wadliwej ich pracy mógł jeszcze przez jakiś czas utrzymać się w powietrzu, a o to mu przecież chodziło. Był niewątpliwie maniakiem.

Odbezpieczył ster. Leciał. Pilotował.

To musiały być dla niego wielkie, szczęśliwe chwile. Żaden z nas tego nie doświadczał, nawet wtedy, gdy po raz pierwszy prowadziliśmy samodzielnie samolot, jako uczniowie w szkole pilotów.

Niewątpliwie miał pojęcie, jak się należy do tego zabrać, ale umiał przecież mniej, niż przeciętny uczeń w polowie kursu pilotażu.

FG-32 nie jest łatwa do pilotowania; trzeba ją dobrze poznać, aby dać sobie z nią radę. Cóż dopiero gdy silniki działały do takiego stopnia źle, jak to właśnie miało miejsce.

Wyobrażam sobie doskonale Nowackiego w tej sytuacji, wśród tej dramatycznej scenarii. Tę pustą mroczną skrzynię czterotonowego samolotu, w której hulają przeciągi; te blade, anemiczne światła ekranowych lampek, które oświetlają konające zegary i manometry; te rzygające dymem spalin chore silniki, zachłystujące się co chwila i strzelające ogniem.

Widzę go, jak siedzi za sterem, tragiczny w patosie tego pierwszego i ostatniego lotu, dokonanego za taką cenę. Patrzy w noc, w ciemność, na mętny horyzont rozjaśniający się tu i owdzie słabym odbłaskiem. Próbuje poruszyć koło sterowe i czuje, jak maszyna posłusznie kładzie się na skrzydło. Ściąga ster na siebie i oto samolot wpiera się w powietrze, orze głęboką, niewidzialną bruzdę w przestrzeni, zawraca.

Nowacki włada nim. Zapewne nie zdaje sobie sprawy z niedołejnej linii skreślu. Nie czuje poślizgów, zbroceń, uskoków w dół i w górę, których i tak nie umiałby opanować, nie mając w tym wprawy. Jest dumny. Jest szczęśliwy.

Ale oto zza cienkiej warstwy obłoków wyrywa się ziemia. Staje się bliska. Jest

twarda, niegościnna, pocięta kolejowymi torami, szosami, garbata od wzgórz, czarna od kosmatych lasów. I tylko daleko na północy bieleje wielka, równa, piaszczysta pustynia poligonu. Tam możnaby wylądować.

Pan się domyśla, panie kapitanie, co mi wtedy przyszło do głowy. Nie powiedziałem tego sądowi, bo sąd — jak szeroka publiczność — chce widzieć albo czarno, albo biało. Ale pan wie przecież, że każdy z nas jest człowiekiem. Nie białym bohaterem i nie czarnym lajdakiem, tylko człowiekiem, który miewa odruchy dobre i złe.

Otóż przez chwilę uprzytomniłem sobie, co mi groziło, gdyby Nowackiemu udało się wylądować. Nie mam tu na myśli sądu. Sąd uniewinniłby mnie, bo wtedy miałby świadka. Ale w porównaniu z tym, co mnie spotkało ze strony opinii w ciągu tego roku po jego śmierci, byłaby to klęska stokroć gorsza. Nie pytanoby przecież, jak się to stało, ale wiedziano, że pilot wyskoczył, obserwator zaś został i ocalał maszynę. I wtedy w ciągu tej krótkiej chwili pomyślałem, że lepiej już, aby jej ocalić nie zdołał.

Przeleciała mi ta myśl przez głowę, gdy biegłem w stronę piaszczystej równiny, aby... hm, aby dopomóc do tego lądowania. Jak dopomóc? Nie wiem.

Znałem przecież ten samolot. Chciałem go uratować. Nie Nowackiego, tylko właśnie samolot. Zdawało mi się, że potrafię oddać Nowackiemu całą moją umiejętność lądowania, jeśli tylko będę widział, jak zbliża się do ziemi.

Musiał ją obaczyć nagle tę groźną ziemię, jak stała mu się pod skrzydła. Jak sięgała w górę rozczapierzonymi chciwie konarami drzew i czochratymi łbami so-

sen. Może myślał, że wyląduje, bo jednak nie zdołał pochwylić go drzewa i gwałtownie już nisko nad wydymami białego piasku. Ale nie powiodło mu się. Nie umiał wytracić szybkości, nie orientował się, gdzie leży równy teren i nie zdawał sobie sprawy, że trawersuje. Całym pędem wyrwał podwoziem o stos kamieni u skraj lasu.

Usłyszałem ten trzask i łoskot. Dobiegłem.

Było już po wszystkim: cisza; tylko z rozpekniętych zbiorników lała się benzyna i syczały płatki śniegu na rozgrzanych cylindrach...

Herbert umilkł i ja milczałem również. Zegar na wieży odwachu wolno wybijał godzinę. Słychać było miarowe kroki żołnierza pod oknami. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć Herbertowi po tym wszystkim.

Usiłowałem nastroić go optymistycznie. Powiedziałem coś banalnego o pomysłach sprawiedliwości. Wspomniałem, że przecież tak czy inaczej dziś kończy się okres zawieszenia go w lotach.

— Nie o to chodzi — odrzekł, machnąwszy ręką. — Widzi pan, to się oczywiście już skończyło i przeszło. Ale zostaje cień, który powlecze się za mną wszędzie. Cień sprawy o pozostawienie obserwatora w samolocie, który ja opuściłem. Przecież nie mogę każdemu z osobna opowiadać tej historii tak jak panu. Ktoś z obserwatorów teraz chętnie ze mną poleci?

Nie odpowiedziałem na to pytanie. Odpowiedź na nie pozostawiam wam, koledzy obserwatorzy: kto z was zechce polecieć z poręcznikiem Herbertem?

SPRAWY KOBIECE

Hanna Siemienka

Policja kobieca w Polsce

Warszawa, w czerwcu.

Kiedy w r. 1925., a więc zaledwie 12 lat temu, powołano w Polsce pierwsze kobiety do służby w policji państwowej, opinia publiczna przyjęła tę wiadomość ze zdziwieniem, a nawet z niechętnym powątpiewaniem. Jakto, mówiono, kobieta w policji? Czyż ona sobie da radę? Czy wytrzyma taką nieraz niebezpieczną i wyczerpującą zarówno fizycznie, jak i moralnie?

A jednak przewidywania te i obawy okazały się ponne i niesłuszne. Praca kobiet w policji dała tak dobre wyniki, że już w niedługim czasie nasze policjantki zyskały wielką popularność w społeczeństwie oraz uznanie swoich kolegów i bezpośrednich zwierzchników. Toteż z czasem nie tylko ich liczba stopniowo coraz bardziej wzrastała, ale stale rozszerzał się także zakres wykonywanych funkcji.

Dzisiaj posiadamy już 148 kobiet, czynnych w służbie policyjnej.

Fakt, że nasze policjantki mogły od razu wykazać pełną wydajność i sprawność, został wywołany mądrym i przewidującym stanowiskiem naszych władz państwowych. Oto — powziawszy decyzję powołania kobiet do pracy w policji — władze od razu stworzyły kobietom pomyślne warunki dla ich pracy, to znaczy zrównały je w prawach i obowiązkach z kolegami — mężczyznami.

W pierwszym okresie działalności polskiej policji kobiecej powierzono jej walkę z nieładem w ramach nieumundurowanej policji śledczej. Walka ta dotyczyła zarówno walki z przestępczością kryminalną, jak i nadzoru nad prostytutką w zakresie walki z chorobami wenerycznymi.

Tu bardzo prędko nasze policjantki zastoso-



Policjantki podczas służby

wały nowe metody pracy, nowy, swoisty sposób postępowania, zwłaszcza w stosunku do kobiet, zagrożonych nieładem. Powoli potrafiły one zyskać pełne zaufanie dziewcząt pokrzywdzonych, potrafiły wiele z nich uratować i przywrócić do normalnego życia oraz ustrzec od pokus życia wielkomięskiego. Jednocześnie z żelazną wytrzymałością i konsekwencją tropiły i ujawniały tych wszystkich przestępców, którzy, dla zysków pieniężnych, demoralizują dziewczęta i zmuszają je do życia nieładem.

W drugim okresie działalność policjantek rozszerzona przez powołanie ich do pracy w policji mundurowej. Kobiety noszą takie same mundury i odznaki, jak i policja męska. Zadaniem kobiecej policji mundurowej jest walka z przestępczością dzieci i nieletnich.

I na tym polu praca policjantek dała doskonałe wyniki.

W stosunku do dziecka bezdomnego, żebrzącego, włóczącego się po mieście bez nadzoru starszych opiekunów, lub po prostu zblakłego — rola mundurowych policjantek ogranicza się do okazania dzieciom dorywczej, chwilowej opieki. Bowiern dotychczas policja kobieca nie prowadzi własnych zakładów wychowawczych — opiekuńczych, a tylko odsyła zatrzymane dzieci do domu rodzinnego, albo do odpowiednich zakładów, utrzymywanych przez organizacje społeczne, czy też przez samorządowe Wydziały Opieki Społecznej.

W stosunku zaś do dziecka przestępczego — kobiecej policji mundurowej powierzono przeprowadzanie wszystkich spraw przestępstw, popełnionych przez nieletnich. Sprawy te prowadzi policjantki zupełnie samodzielnie, to znaczy — od rozpoczęcia dochodzenia aż do zawyrokowania danej sprawy.

Ponadto należą również do nich i sprawy przestępstw, popełnionych przez dorosłych w stosunku do nieletnich.

W praktyce praca policjantek przedstawia się następująco:

Patrolują one nieustannie ulice, parki, place, targi i t. d. Zatrzymane w czasie patroli dzieci nie są odstawiane, jak dawniej, do Komisariatów, ale do Izby Zatrzymanych, specjalnie zorganizowanej w tym celu. Tam w kancelarii każde dziecko zostaje przesłuchane przez dyżurną policjantkę i, po spisaniu protokołu, oddawane pod opiekę wychowawczą. Po umyciu się pod tuszem, przebraniu czystą, niebieską pidżamką, przechodzi do jasnej, wesołej świetlicy, gdzie dostaje posiłek, a potem może słuchać radia, czytać książki, bawić się zabawkami, rozmawiać z wychowawczynią i t. d. Na-

noc świetlica zamienia się w wygodną sypialnię, a dzieci otulone w ciepłe koce zasypiają spokojnie. Taki arezt prewencyjny może trwać najdłużej 48 godzin. Tymczasem policjantki przeprowadzają wywiady stosunków rodzinnych dziecka i, zależnie od rodzaju sprawy, jest ona kierowana albo do sądu dla nieletnich, albo też dziecko zostaje umieszczone w odpowiednim zakładzie leczniczym, czy wychowawczym, wreszcie może być oddane pod opiekę rodzicom, lub opiekunom społecznym.

Głównym celem Izby Zatrzymań jest odgrodzenie dzieci od demoralizującego wpływu starszych przestępców. Zasada ta jest stosowana tak dalece surowo, że np. młodszy chłopcy są zatrzymywani oddzielnie od starszych, bardziej zepsutych i parokrotnie karanych.

Ponadto Izby Zatrzymań mają oddziaływać dobrym, serdecznym stosunkiem do dziecka, nie raz udreżonego ponad wszelką miarę wytrzymałości ludzkiej. W rzeczywistości stają się one miejscem, w którym następuje pierwsze rozpoznanie duszy dziecka, jego trosk i potrzeb. Dla wielu dzieci pobyt w Izbie Zatrzymań staje się punktem zwrotnym w życiu. Odtąd dziecko „niczyje”, niepotrzebne, samotne odczuwa słodycz opieki troskliwej i przyjaznej, staje się częścią jakiejś gromady, z bezdroży wchodzi na prostą drogę życia zawodowego i społeczno-obywatelskiego.

Halina Siemieńska

Porady

Nadmierna opalenizna — szkodzi!

Pęd do opalania się na bronz ma swoje złe i dobre strony. O dobrych nie ma potrzeby pisać, bo wszyscy o nich wiedzą, natomiast zbyt często lekceważone są właśnie ujemne skutki opalania.

Są one dwójakiej natury: kosmetycznej i zdrowotnej.

Opalenie jest znakomite dla cery tłustej u osób o ciemnej pigmentacji. Osoby takie opalają się szybko i trwale. Inaczej ma się sprawa u blondynek o jasnej i suchej cerze wrażliwej. Cera sucha wysusza się na słońcu jeszcze bardziej, a rezultatem tego — łuszczenie i przedwczesne zmarszczki. Płegi, to dolegliwość osobna i, niestety, dość częsta. Osoby o cerze suchej muszą nie tylko smarować grubo skórę kremami światłochronnymi, ale ponadto regulować „dawki” słońca bardzo umiarkowanie. Na wycieczce kajakowej czy na plaży nie wystawiać ciała na działanie promieni słonecznych dłużej niż przez godzinę.

Przesadne opalenie może być przyczyną cierpień wewnętrznych. Nierzadko występują różne niedomagania nerwowe, bezsenność, bicie serca i

dolegliwości nerek. Opalania muszą unikać osoby, które cierpią na płuca, gdyż ani się spodziewają, jak im otworzy się ognisko gruźlicze. Słabe nawet niedomogi serca i nerek są przeciwwskazaniem do opalania.

Oczywiście, pisząc o „nadmiernym opalaniu” trzeba wyjaśnić, że rozumie się pod tym mianem długotrwałe wylegiwanie na słońcu w kostiumie kąpielowym, który bardzo skąpo osłania skórę. — Ruch na świeżym powietrzu, na skraju lasu, na cienistych drogach dostępny i wskazany jest dla każdego.

O kapeluszach słów kilkoro

W JAKIM KOLORZE KAPELUSZA JEST PANI DO TWARZY?

Większość pań, sprawiając sobie nowy kapelusz, zwraca przede wszystkim uwagę na to, aby zgadzał się on w kolorze z suknią, płaszczem albo torebką czy rękawiczkami.

Niestety, co się często okazuje? Komplet jako całość wygląda bardzo elegancko, ale pani jest w nim nie do twarzy. Pani zapomniała o kardynalnej zasadzie, że kapelusz musi być dobrany nie tylko do całości ubrania, ale przede wszystkim do koloru włosów.

W jakim kolorze kapelusza będzie do twarzy blondynce?

Z kolorów ciemniejszych wymienić trzeba: czarny, granatowy, brązowy, ciemno zielony (butelkowy), barwy kasztanów. Z jasnych: biały, srebrzysto popielaty, tony pastelowe.

Jakich barw powinna unikać?

Nietwarzowe dla blondynek są kolory krzykliwe o żywym natężeniu, a więc: czerwony, ostro zielony, modrakowy, ostro żółty i beżowy.

Jakie kolory odpowiednie są dla brunetki?

Z ciemnych barw: czarny, granatowy, trawiaście - zielony. Jeżeli pani jest szatynką, to uważa przy wyborze barw brązowych! Kapelusz brązowy i włosy nie powinny być w dwu różnych tonacjach. Z jaśniejszych kolorów polecić można śmiało: biały, beżowy i słomki w kolorze naturalnym. Doskonale nadają się też wszystkie barwy

żywe, jak czerwony, modrakowy, lila, zielony. Ogółem skala barw dla brunetek jest znacznie rozleglejsza, aniżeli dla blondynek.



Polskie wyroby ludowe
Tkanina wileńska, gliniany huculski talerz i dzbanek, huculska szkatulka inkrustowana, serwetka z haftem łowickim

EMERYTURY DLA KOBIET. Londyn. Ponad 3000 „oldmaids” ze wszystkich hrabstw Anglii zebrało się na wiecu, na którym uchwalono rezolucję, domagającą się przyznania emerytury kobietom niezamężnym z osiągnięciem wieku 55 lat. Uczestniczki wiecu urządziły następnie manifestację w Hyde Parku.

Nr. 12. „PANI DOMU” (Administracja: Warszawa, Nowy Świat 9) poświęcony jest wakacjom letnim i ich przygotowaniu. Wyjeżdżająca na letnisko Pani znajdzie w nim bogaty materiał, dotyczący aktualnych kwestyj, związanych z okresem letnim.

Co to jest trzeci migdał?

— Władzio znów przeziębził się — mówi matka do ojca.

— Zapewne poszedł do szkoły za lekko ubrany — odpowiada rozdrażniony ciąglym narzekającym mężem, przypuszczając, że mały dozór nad dziećmi ze strony matki jest tego przyczyną.

Niedawno Staś wstał z łóżka, teraz Władzio zajął jego miejsce. Choroba jakby upodobała sobie ten dom. Łada ślota, już któreś z dzieci narzeka na bóle głowy, kaszel, katar, traci apetyt i pokłada się w łóżko, czując się osłabione i apatyczne.

Przerwy w nauce szkolnej, brak zainteresowania i ochoty do nauki wywołują uwagi i upomnienia ze strony nauczyciela. Oto kłopoty rodziców, gdy dzieci są niewłaściwie chowane i przy tym nie leczone.

Tymczasem dokładne zbadanie i stwierdzenie przyczyny tych rzekomych ciągłych przeziębień się, natychmiast radykalnie usunęłyby nie tylko owe niedomagania, ale wpłynęłyby korzystnie na rozwój umysłowy dziecka i postępy w szkole. Przyczyną bowiem takich stanów u dzieci jest obecność nadmiernie rozrośniętego tak zwanego „trzeciego migdału”, który znajduje się w jamie nosowo-gardzielowej, tuż przy otworach tylnych nosa.

Cóż to jest trzeci migdał?

Jest to rozrośnięty twór, coś w rodzaju dzikiego mięsa (narośli), dochodzący często do wielkości śliwki, który swoją masą przerywa komunikację z nosa do gardła.

Obecność migdałka przejawia się w najróżnorodniejszy sposób, zależnie od stopnia wielkości. Do najbardziej charakterystycznych dolegliwości należą: trudność lub niemożność oddychania nosem, mowa niewyraźna (nosowa), oddychanie podczas snu przez usta otwarte i chrapanie, kaszel i zapychanie w gardle, ciągły katar nosa, nierzadko osłabienie słuchu. Obok tych objawów występują niedomagania ze strony umysłowej, duchowej. A więc: zahamowanie rozwoju umysłowego, brak zainteresowania się nauką, brak pamięci, trudność w skupianiu uwagi podczas lekcji i t. p.

Zewnętrznie często wyrazem twarzy dziecko

czyni wrażenie głupkowatego i znacznie upośledzonego. Zdarza się również moczenie w czasie snu, a matka gniewa się na dziecko i często bije je za to. Tymczasem dziecko winy nie ma zupełnie, a przyczyny dopatrywać się należy w trzecim migdale.

Przy całym zespole objawów dość poważnych, leczenie jest wdzięczne i nadszycząz korzystne. Usunięcie migdału czyni dziecko jakby nowonarodzonym. Z tego głupowatego, nieuważnego chłopca, wyrasta ku zadowoleniu nauczyciela i rodziców uczeń pilny, zdolny i rokujący nadzieję.

Ustrój jego, jakby nagle zahartowany, nie przeziębienia się, nie potrzebuje specjalnych ochronnych szali, kaloszy i t. p. dodatków i dobrze się rozwija.

Matki, uważajcie pod tym względem bardziej na dzieci, zwłaszcza w wieku przedszkolnym, czy nie spostrzegacie jakichkolwiek objawów.

Szukajcie porady fachowej, gdyż trzeci migdał wraz z wszystkimi swoimi następstwami jest chorobą wieku niemal tylko dziecięcego.

Wczesne jego usunięcie położy kres tym wszystkim niedomaganiom, opisanym na początku.
Dr R. R.

SŁABA PLEĆ. Co może jedna „słaba” kobieta — dowiadujemy się ostatnio z pism nowojorskich. Oto w małej dziurze stanu Kansas, liczącej parę set mieszkańców, a nazywającej się Newalbany, postanowiła niejaka Zuzanna Murphy przenieść całą władzę w ręce kobiet.

Podczas wyborów do gminy, rozplakatowała ona afisze z hasłem: „Przyzwyczajcie, Postęp, Wolność” i sprawiła, że wybrane zostały wyłącznie kobiety. Na czele ich stanęła pani Murphy, jako burmistrz. Stanowisko sekretarza, pisarza, kasjera i t. d. zajęły również kobiety.

Odtąd gmina stała się wzorową. Wydano zakaz picia piwa, a dancingi obłożono bardzo wysokimi podatkami.

Mężczyźni narazie zachowują się potulnie. Zapewne konspiracyjnie przygotowują rewolucję...



Gobelin, przedstawiający odsiecz wiedeńską, który znajduje się w „Sali Tysiącleci” w pawilonie polskim na Wystawie w Paryżu

Tydzień na migaj

Z prawej: Pawilon „Światła i radia” na Wszechświatowej Wystawie w Paryżu w specjalnym oświetleniu w nocy.
U dołu: Rzeźba symbolizująca zjednoczenie narodów Bałtyckich w pawilonie Bałtyckim na Wszechświatowej Wystawie w Paryżu. Praca łotewskiego artysty K. Kāneps'a



Alina Kwolecińska

W noc świętojańską

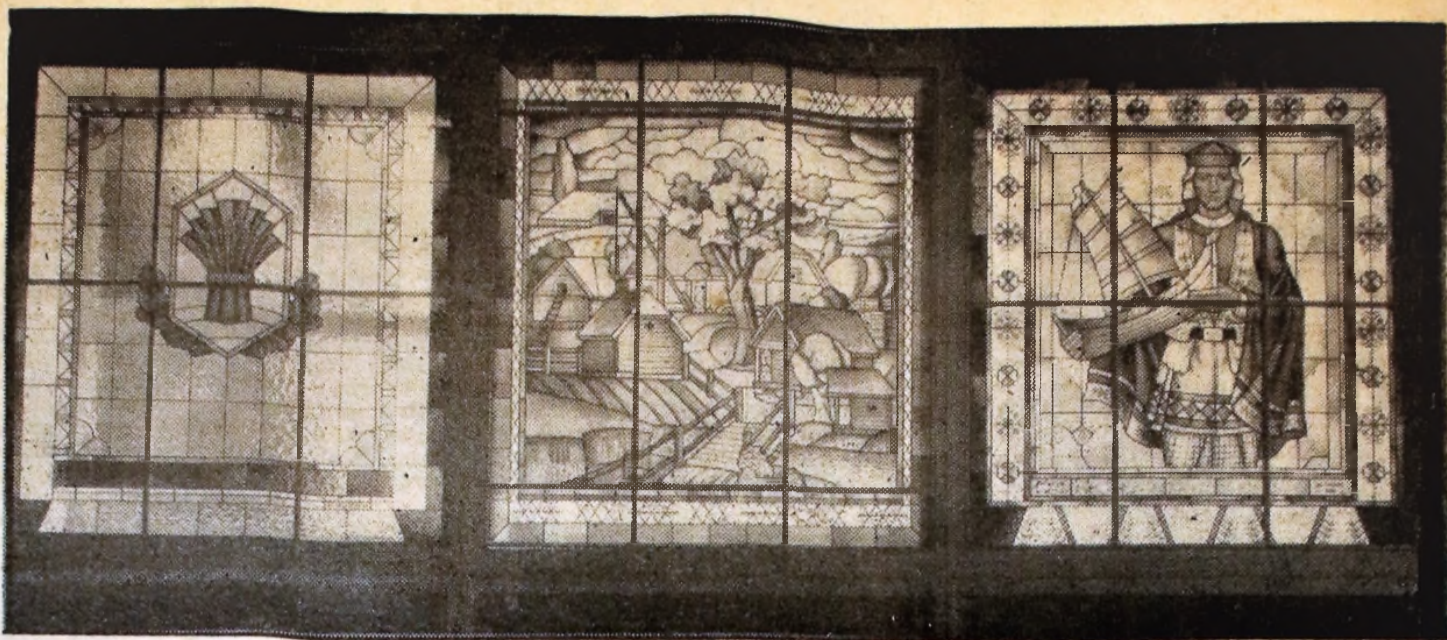
W tę noc, gdy dziwy świat poruszają,
gdy szczęście znaleźć chcesz,
idąc samotnie leśną głuszą
w swe serce spojrzij też.
Choć nie zabłyśnie kwiat paproci
w tę świętojańską noc,
może się na dnie serca złoci
ukryta czarów moc.
Ta moc, co w jasność zmienia mroki,
co rozslonecznia świat,

co takie w sobie ma
jak z bajki szczęście
Ta moc ukryta w tobie
odszukać dziś ją chcesz
Chociażbyś przebiegł
twe szczęście tylko
Ciche zakątki nocą
przechodząc wzdłuż
odnajdziesz skarb,
gdy w serce spojrzysz



Wke

Z prawej: Witraża w działu lotewskim na Wszechświatowej Wystawie w Paryżu, wykonane według rysunków A. Cirullis'a



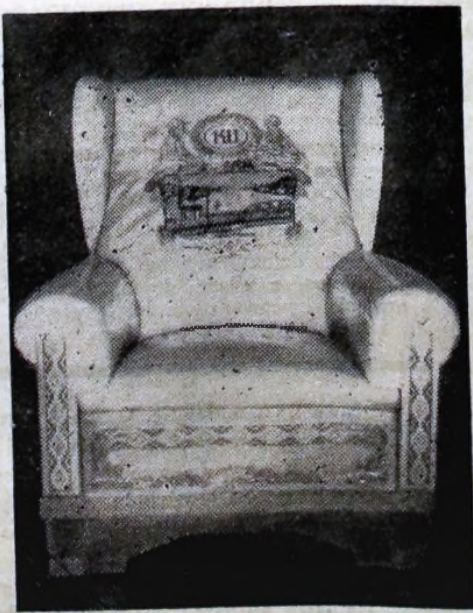
Z prawej: Fragment pawilonu państw Bałtyckich (Łotwy, Estonii i Litwy) na Wszechświatowej Wystawie w Paryżu



U dołu: Młodzież kończąca szkoły średnie na przyjęciu u Prezydenta Państwa dr. K. Ulmanisa



Krzesło ofiarowane Prezydentowi Państwa dr. K. Ulmanisowi przez spółkę akcyjną „Korona” w Liepai



Z literatury

Książki, które mówią... wierszami

MARIA JASNORZEWSKA-PAWLIKOWSKA otrzymała nagrodę literacką miasta Krakowa.

Jedna z najświetniejszych polskich poetek, nie tylko doszukująca się głębi w najbliższych zjawiskach świata, ale oddająca ją w formie pięknej, ostrej i skondensowanej — słusznie została nagrodzona w tym roku. Wiersze jej warte są tłumaczenia na wszystkie języki świata. Nagroda padła na tomik ostatni „Balet powojów”, w sprawozdaniu niniejszym jednak sięgniemy i do dawniejszej twórczości poetki — w tym przeświadczeniu, że krótkie, zuchwałe nieraz przejmujące wzruszeniem i przesywające prawdą jej wiersze, staną się ozdobą niejednej kolumny pism naszych zagranicą. Wiersze Pawlikowskiej są trudne — zarazem jednak zrozumiałe przez swoje „nic dodać, nic ująć” — czterowiersze jej zaś np. zadziwiają wręcz mistyczną oszczędnością słów, przez co stają się tym bardziej wyraziste.

A oto wiersze z tomiku „Balet powojów”:

WIĘDNAĆ KAMPANULA (dzwonek)

Jedwabny, rozdęty dzwon
klęśnie, tęchnie...
Liście zwisają,
niechętnie,
tęsknie.

DUSZE RÓZANE

Kwitnąć chciały wszystkie!
Walczą zapamiętałe
o miejsce, słodki udział,
w majowym szale.
Lecz miejsca — zawsze mało!
Więc jedne — kobietami,
a te co nie zdołały —
zakwitają różami.
I raz ręce dziewczyny
różę z płatków odarły,
a raz róża zakwita
przy dziewczynie umarłej...

Teraz wyjątki z tomiku „Spiąca załoga”:

KROKUSY

Narciarze, rozteżeni jak falanga duchów,
zjechawszy z gór w dolinę, stanęli bezradni.
Na śniegi cień rzucając,
w stroju lekkim, kusym
patrzają ku słońcu — piękni.
A to są krokusy.

MGŁA

Samolot na dębie wisi
w okaleczeniach licznych,
otoczyły go liście, jak gapowie cisi,
jak dobra publiczność.
Mgła rozdziera szaty na sosnach —
winowajczyni żalosa!...

Ze zbioru „Pocałunki”:

WIELKI WÓZ

Wędrujemy cygańskim obozem,
nocujemy w gwiazdzistej grozie,
dzisiaj pod Wielkim Wozem,
jutro na Wielkim Wozie.

SŁOWIKI

Słowiki są dziś nieswoje,
bzy są, jak chmury krzyżyków.
Chcesz zabić serce moje?
Przecież się nie zabija słowików!?

Reflektorem po świecie

Wrogowie Ameryki

WROGOWIE AMERYKI Nr. 1. W ostatnich czasach — jak twierdzą dzienniki amerykańskie — gangsterizm, plaga społeczna Stanów Zjednoczonych, zaczyna przybierać już łagodniejsze formy, tracąc na sile. Jak istotnie przedstawia się stan przestępczości w Ameryce, świadczą o tym rewelacyjne dane z publikacji szefa amerykańskiej policji związkowej, Edgara Hoovera. Według niego, w Stanach Zjednoczonych grasuje obecnie

TRZY MILIONY GANGSTERÓW.

W 1935. r. popełniono w Ameryce 1.445.531 CIĘŻKICH ZBRODNI, wśród tych ponad 12.000 morderstw. Wynika z tego, że co 84. mieszkaniec Stanów Zjednoczonych pada ofiarą morderstwa.

Również inne rodzaje zbrodniarzy dają się poważnie odczuć amerykańskiemu społeczeństwu. Ani jedno gospodarstwo domowe nie jest w stanie trwać i wegetować bez płacenia gangsterom stałego haraczu. Znakomicie zorganizowany świat przestępczy nałożył swego rodzaju stałe opłaty, jakby podatek, na artykuły spożywcze, wszystkie produkty fabryczne i służbę domową. Według pobieżnych obliczeń, na jednego mieszkańca Ameryki wy-

120 DOLARÓW ROCZNEJ OPŁATY NA RZECZ ŚWIATA PODZIEMNEGO

W ten sposób Stany Zjednoczone płacą rocznie 15 MILIARDÓW DOLARÓW

na swoich przestępców. Dane te są raczej niższe, aniżeli w rzeczywistości, gdyż liczne opłaty na zorganizowanych gangsterów utajają zainteresowani w obawie przed zemstą. Ilość zbrodniarzy małoletnich wzrasta również szybko i stale. Oblicza się, że na 3 miliony gangsterów przypada

20 PROCENT MAŁOLETNIICH,

uczęszczających jeszcze do szkoły i pozostających pod opieką domu rodzicielskiego.

Jest faktem autentycznym, znanym z licznych rozpraw sądowych oraz z kronik policyjnych, że młodociani przestępcy mają na sumieniu tysiące morderstw, dziesiątki tysięcy włamań i napadów rabunkowych, niezliczone kradzieże, zwłaszcza samochodów. Należy w tym wypadku w dużej mierze przypisać winę rodzicom, którzy nie szczędzą ani kosztów, ani starań, aby jak najprędzej uwolnić dzieci od odpowiedzialności i tym sposobem przywrócić je dawnemu środowisku. Rodzice posługują się pomocą t. zw. „fixerów“, t. j. pokątnych adwokatów, którzy nie cofają się przed przekupstwem i pogroźkami, aby tylko wykreślić od odpowiedzialności swoich młodocianych klientów.

Podkreślić należy jednak, że większość policjantów amerykańskich, ponadto wszyscy ci, których zawód wymaga walki z przestępstwem, jak prokuratorzy, sędziowie, szeryfowie, detektywi i strażnicy więzienni, nie cofają się przed niebezpieczeństwami walki ze światem podziemnym, narażając niejednokrotnie życie. Największą zasługę w tym kierunku ma organizacja amerykańskiej policji związkowej, t. zw.

„G-MENN“

której udało się unieszkodliwić najniebezpieczniejsze bandy gangsterów, a także ich pomocników, ukrywających się w szeregach adwokatów, bankowców i t. p. Wśród trzech milionów zawodowych przestępców w Ameryce znajduje się

12.610 MĘŻCZYZN I KOBIET, NALEŻĄCYCH DO SZEREGÓW „WROGÓW PAŃSTWA“.

Są to zawodowi mordercy, podejmujący się

każdej zbrodni za odpowiednią opłatą, porywacze ludzi, bandy napastnicze, wyposażone w karabiny maszynowe, notoryczni mordercy policjantów i t. p. Nie wahają się wykonać żadnej zbrodni, posługując się kulami dum-dum, którymi strzelają często bez powodu, nie ostrzegając nawet przeciwnika. Wymieniony powyżej Edgar Hoover twierdzi, że jeżeli nie uda się na czas wytepić tych szkodników społecznych, stosując wszelkie stojące do dyspozycji środki i systemy, a przede wszystkim uwalniając policję i sądy od wpływów politycznych, w takim razie w najbliższej przyszłości grożą Stanom Zjednoczonym ciężkie przejścia wypaczonej jurysdykcji amerykańskiej.

Co może telefon i samolot

JAK URATOWANO POSŁA SZWAJCARSKIEGO W WARSZAWIE. W niezwykły sposób uratowano życie posłowi szwajcarskiemu w Warszawie, Maksymilianowi de Stoutz. Posel de Stoutz zachorował w zeszłym tygodniu na ciężkie ropne zapalenie opłucnej. Stan chorego był tak ciężki, iż konsylium lekarzy warszawskich orzekło, że tylko najwybitniejszy w tej dziedzinie specjalista, chirurg niemiecki, prof. dr. Bauer z Wrocławia, może uratować życie pacjenta.

W ub. sobotę, o godz. 10 rano, zwrócono się telefonicznie do prof. dr. Bauera, który oświadczył, że tylko wówczas może się podjąć operacji, o ile będzie mógł być w Warszawie przynajmniej za dwie godziny. W przeciwnym razie — zabieg byłby spóźniony. Zatelefonowano wówczas do Pragi, do linii lotniczej francuskiej, której samoloty, lecące z Pragi do Warszawy, przelatują nad Wrocławiem, nie lądując jednak w tym mieście. Okazało się, że samolot jest już w drodze, a poza tym nie ma prawa lądowania we Wrocławiu. Tymczasem prof. dr. Bauer z instrumentami oczekiwał na lotnisku we Wrocławiu.

Zwrócono się więc z prośbą o interwencję do ambasadora niemieckiego w Warszawie, von Moltke, który telefonicznie uzyskał od władz lotniczych wyjątkowo zezwolenie na lądowanie francuskiego samolotu we Wrocławiu. — Znow zatelefonowano z Warszawy do Pragi, a stamtąd, drogą radio-telegraficzną, przesłano pilotowi polecenie lądowania we Wrocławiu i zabrania prof. dr. Bauera. Samolot minął już w międzyczasie terytorium niemieckie i znajdował się nad Polską. Jednakże pilot zawrócił i wylądował we Wrocławiu. — Prof. dr. Bauer odleciał natychmiast do Warszawy, gdzie znalazł się krótko po godzinie 12 w południe — mimo wszystkich przeszkód w przeszło 2 godziny po pierwszej rozmowie telefonicznej. — Operacja miała przebieg pomyślny i życie posła de Stoutz zostało uratowane. O szalonym pośpiechu świadczy fakt, iż od pierwszej rozmowy telefonicznej z prof. dr. Bauerem do chwili zajęcia przezeń miejsca w samolocie we Wrocławiu, upłynęła niespełna godzina.

Nie tylko w Ameryce

POMYSŁOWY DZIENNIKARZ. Utarło się w starej Europie przekonanie, że wyłącznie Ameryka jest ojczyzną ekscentrycznych pomysłów. Okazuje się jednak, iż na naszym kontynencie trafiają się ludzie, którzy swą pomysłowością biją rekordy Nowego Świata.

Niezaprzeczenie bowiem najoryginalniejszym czasopiśmem na świecie jest węgierski tygodnik „Uti Kalandok“, t. j. „Przygody na drodze“, który co tydzień wychodzi coraz to w innym węgierskim mieście.

Imre Peak, dziennikarz budapeszteński, postanowił podróżować z miasta do miasta, dla przeżywania przygód i prowadzenia historycznych badań, których rezultat podaje w swej gazecie, drukowa-

Polska wyprawa na Grenlandię. Ostatnio wyruszyła na Grenlandię polska wyprawa naukowa pod wodzą dra Aleksandra Kosiby (z prawej), znakomitego znawcy tego olbrzymiego lodolądu, na którym był pierwszym Polakiem — badaczem podczas swej pierwszej wyprawy.

Obecna wyprawa polska ma bardzo poważne zadania naukowe. Na lewo autograf dr. Kosiby, udzielony specjalnie dla prasy polskiej

nej w miejscu każdorazowego swego pobytu. Kupił więc konia i udał się w drogę. W Gegled, pierwszym większym mieście, gdzie się zatrzymał, wydał pierwszy numer swego tygodnika, wydrukowanego w 1000 egzemplarzy, i, siedząc na koniu, zaczął go sprzedawać mieszkańcom Gegledu. — Niektórzy z nich zamówili następnie najbliższe numery, względnie zaabonowali go na rok. W przeciągu siedmiu miesięcy wydał Peak swe czasopismo w 30 różnych miastach.

Pomimo powodzenia „Uti Kalandok“, Peak trzymał się nadal swego pierwotnego systemu prowadzenia przedsiębiorstwa: pozostał nie tylko wydawcą i naczelnym redaktorem w jednej osobie, lecz załatwia osobiście wszelkie administracyjne i redakcyjne czynności, jedynie drukowanie numeru powierza zawodowemu zakładowi miasta, w którym w danej chwili przebywa. Cała jego armatura składa się z papieru i automatycznego pióra oraz spisu stałe wzrastających prenumeratorów i z kartotek. A poza tym administracja wraz z redakcją tygodnika mieszczą się w torbie przy siodle, co nie przeszkadza bynajmniej sprawności tego jedynego w swoim rodzaju wydawnictwa.

GŁOS... W SPADKU. Słynny tenor włoski, Caruso, zmarły w 1921. r. we Włoszech, oprócz dużego majątku, pozostawił w testamencie żonie i córce — prawo eksploatacji swego głosu — po swej śmierci. Tak jest! Bowiem cudowny głos Carusa przynosi dalej, po śmierci śpiewaka, milionowe zyski, jako honorarium autorskie za naspiewane przez Carusa płyty gramofonowe, mające wciąż na całym świecie zbyt bardzo wielki.

Dotychczas zainkasowano w ten sposób 1,900,000 dolarów. Suma ta nie przestaje wciąż wzrastać. Pomyślcie, czyż nie jest to cudowne! — pozostawić rodzinie w spadku swój głos, uwieczniony na płytach gramofonowych?

Podobnie i znakomici autorzy pozostawiają rodzinie w spadku swoje utwory w dalszych wydaniach książkowych... Podobnie i muzycy. — A my?

Żywy nieboszczyk

CZŁOWIEK, KTÓRY KAMIENIEJE ZA ŻYCIA. W Pradze czeskiej, w szpitalu Bulolka, leży w separacie człowiek chory na nienotowaną w dziejach medycyny chorobę. Jest to 43-letni kupiec, którego ciało stopniowo kamienieje. Choroba rozpoczęła się w roku 1914 zesztynieniem prawej ręki. Dokładne badania lekarskie stwierdziły, że wśród mięśni tworzą się chrząstki w formie płytek, które uniemożliwiają ruch. Powoli proces ten obejmował inne mięskuly, unieruchamiając szyję, plecy, łedźwie, lewą rękę, a ostatnio obie nogi.

Od trzynastu lat nieszczęśliwy kupiec przebywa stale w klinikach. Kilkunastu lekarzy odbywało już konsylia, a chory zwiedził specjalne lecznice we Wrocławiu, Lipsku, Joachimstau i Piszczanach. Przeprowadzono nieskończoną ilość zabiegów operacyjnych i stosowano szereg zastrzyków i leków.

Wszystko napróżno; chory kamienieje z godziny na godzinę coraz bardziej. Leży jak wielka lalka na łożku, przy czym karmienie odbywa się przy pomocy sanitariuszy. Głowę może jedynie przekreślić o kilka stopni w bok, obejrzenie się jest niemożliwością. Ruchome są jedynie mięskuly twarzy i częściowo dłoni. Przy oddychaniu klatka piersiowa nie porusza się, a chory twierdzi, że czuje się zupełnie jak w pancerzu stalowym.



Mołoby być polskie na terenie badań naukowych, a regularnie eksploatacyj, są naj. trwałą propagandę Polska

Kosiba Aleks.

Wtedy wszystko się kryje w poplochu. Głębiej wciskają się do dziupli popielice i wiewiórki rude, śmigają do nor sprytnie sobole, kuny, łusice i gronostaje; zające ryją dla siebie skrytki w śniegu i leżą tam lękiem zdjęte; lisy zapadają w haszcze; łosie szukają wawozów głębokich; ryś i rosomak nie wychodzą na łowy, gluszcze, cietrzewie i czerwono-brewie jarząbki zlatują z drzew i wtulają się pod zbutwiałe pnie i w gąszcz wikliny. Jedynie sowy i żółtooki pułacz krążą w mroku i wypatrują zdobyczy, przerażonej potężnym głosem szalejącej, mroźnej burzy. Chwilami mrok nocny pierzchał płochliwie, a wtedy rozświetlała się tajga, spowita śniegiem. Gdzieś na północnej polaci nieba wytryskiwały słupy ogniste, wirowały koła i zygzaki zielonych i żółtych płomieni, kreśliły się w wyżynie tajemnicze krzyże świetlne i szalał orkan promieni o barwach przedziwnych, niezmiernych. Wtedy wszystkie głosy milkły, wszystkie oczy patrzyły z lękiem i niemym zachwytem na rozżarzone, rozświetlone niebo, na którym, szerząc się i potężniejąc, płoneła zorza polarna...

Skuleni przy płonącym ognisku, w którym syczały zmarznięte gałęzie i padająca kurzawa śnieżna, siedzieli łowcy, pocierając skostniałe, odmrożone ręce.

Samojedzi i Lis coraz częściej odchodzili od „zimowja” tak daleko, że musieli spędzać noce w kniei.

Umieli oni borykać się z rozszalałą naturą; ciężka dola łowiecka nauczyła ich wymykać z zastawionych wszędzie sidel śmierci.

Zatrzymując się na nocleg, rabali gałęzie świerków i budowali od strony wiatru pochylał ściane, przed którą rozniecali ogień.

Cichymi głosami opowiadali sobie przygody minionego dnia, jedli polewkę z „jukoły” lub „porsu”, piekli na patykach kawałki mięsa upolowanej sarny albo zająca — bielaka, rzucając gością psom; głośno dmuchając do drewnianych miseczek, pili gorącą herbatę, a potem milkli i patrzyli na zesłańca.

Powtarzało się to każdego wieczora, więc Lis wiedział, co wyraża spojrzenie przyjaciół.

Żądali od niego opowiadań, zawsze takich, któreby ich wyrwały ze szponów ciężkiego, nieznośnego niemal życia, pełnego trudów nieprzerwanych, nieludzkich i co chwila śmiercią lub kalectwem grozących.

Oczekiwali od niego cudu przeniesienia ich do wielkich zbiorowisk ludzi spokojnych, oświeconych, dostatnich, do zgiełku i radości życia, pod sklepienie lazuruowego, pogodnego nieba, dyszącego żarem złocistego słońca, którego łaski nigdy nie doznawali.

Śluchali go z zapartym oddechem, gdy mówił o tym, co nie było jednostajną, pełną męczeństwa i nieświadomego bohaterstwa szarzyną istnienia nędznego, półczłowieczego-półbydłeczego, o tym, co rozbrzmiewało głosem ducha, płomiennego serca i potęgi umysłu.

Lis rozumiał, czego pragnęli od niego ciemni łowcy syberyjscy, czuli, do czego się rwały ich budzące się myśli. Opowiadał im więc przez długie godziny wieczorne, a nieraz już północ wskazywał Wielki Wóz, gdy pochylony przed ogniskiem zesłańca mówił jeszcze z zapalem lub rozrzewnieniem, grzebiąc nożem w żarzących się węglach ogniska.

Opisywał piękno, ruch i bogactwo wielkich miast, których słuchający go tuziemcy nie mieli nigdy ujrzeć, a gdzie po roku lub dwóch dotrzeć miały zdobyte przez nich drogie i rzadkie futra.

— Być może — mówił z łagodnym uśmiechem zesłańca — twoje gronostaje, stary Rabahu, ozdobią płaszcz królewski, a ciemne sobole, które zdobył dziś Wotkuł, okryją ramiona pięknej kobiety, żony dostojnika, możnego człowieka, który mądrze doradza swemu władcy, lub sam rządzi milionami ludzi. Ze skóry łosia, powalonego kulą Gangi, uszyją białe rajtuzy i piękny pas ze złotymi kitami dla wodza, rzucającego w wir krwawej bitwy tysiące ludzi i na zwalach, stosach ciał pokonanych wrogów ogłaszającego dumnie swoje zwycięstwo! Futra lisów będą chroniły przed zimnem wielkiego uczonego lub myśliciela, wskazującego nowe drogi ludzkości. A nikt z nich nigdy nie będzie wiedział, że to łowcy Sameednam z nad Obi przystali im z dalekiego Czin-Waru i Sagurskiej tajgi te skórki, niezbędne dla ich wygody, wspaniałości i bezpieczeństwa. O, nie smućcie się, nie narzekajcie, bracia, na swój los surowy! Pamiętajcie, że jesteście najdalej rzuconymi synami jednej rodziny ludzkiej, a czynny wasze i wasz wysiłek ciężki potrzebne są dla waszych braci. Oni za to przysłał wam na tundrę i do tajgi: tkaniny, żelazo, ołów, stal, herbatę, sól i wszystko, czego nie rodzi i nie posiada w głębi swej piersi ziemia wasza!

Opowiadał Polak milczącym przyjaciołom o znojnym walkach swej ojczyzny dalekiej, o dziarskim Dwernickim, o żołnierskiej enocie Chłopińskiego pod Grochowem, o przemyślnym,

F. A. Ossendowski

MOCNI

nierzakowanym Prądyńskim, o walecznym orle — jednogim Sowińskim, o ofiarności podchorążych warszawskich, o bitwach, w których sam brał udział, o cierpieniach, tułaczce, spotkaniu się ze swoją żoną, szukającą go po nędznych, brudnych etapach, gdzie dzwonią kajdany i szmerzą ciężkie westchnienia uciemiężonych i sponiewiernych ludzi.

Gdy przerywał opowiadanie i w milczeniu przyglądał się czerwonym i żółtym węzom, biegiącym po węglach, Samojedzi podawali mu kubek gorącej herbaty i prosili cichymi głosami:

— Sprawiedliwy, zagraj nam!

Uśmiechał się wtedy, dmuchal do gorącego napoju i pił go powoli, rozkoszując się ciepłem, ogarniającym całe ciało.

Skończywszy, brał od Wotkula jego róg myśliwski, długi, czarny od starości, nie wiedzieć skąd przyniesiony tu kręty róg bawoli.

Teraz wstawał dawny trębacz cesarski, kopulaste przeżył piersi i, wydawszy policzki, zaczynał trąbić.

Ożywała wtedy tajga uśpiona, echo bieгло spłoszone od modrzewia do świerka, od sosny do białych szkieletów brzóz; rozgwar się szerzył po świetle od stromych spychów Saguru i lsztyru aż hen — do dalekich pagórków za Basargynem, od śnieżnych wydm, wyrosłych pod zwisającymi łapami kosmatych od jeleniego mchu jodeł, aż pod niebo same, pod jarzące się migotliwe „Stożary” i pod świecąca nad oceanem drzew, niby łeb białego w pułap gwoździa mosiężnego — gwiazdę polarną.

Potężne to były dźwięki, budzące tajgę i drażniące zaczone w niej echo.

Zdawało się, że róg rozbrzmiewa rozedrganym srebrem, szłocha rozpasanym jękiem metalu.

Gdy milknął, zapadała nagle cisza przerażająca; wchłaniała bez śladu, przytłaczała łoskot padających brzóz, dalekie wycie wilków i wszystkie głosy, charkoty, syki, zrodzone z nienawiści, rozpacz, strachu i bólu — tej mowy życia i śmierci.

Ciszy nie było na ziemi, lecz panowała ona w duszach ludzi, nagle wyrwanych z zawrotnego wiru mocarnych dźwięków rogu.

A Lis oddawał go Wotkulowi i rzucał tylko jedno słowo — Spać!

Nim brzask się zaczynał, myśliwi posilali się znowu, a przy pierwszych mgławicach przedświt wyruszali już na łowy.

Lis oglądał zastawione na noc „słopey”. Były to oparte na drażkach ciężkie kloce, z leżącą pod nimi przynętą. Wsłizgująca się tam zwinna lasica lub kuna zawadzała o drażek, a drzewo ciężarem swym przygniatało niebaczone zwierzę.

Na przesmykach, uczyszczanych przez lisy i zające, budował zasięki, zawieszal wnyki i pętle, które się zadzierały na ich szyjach, chwytając je i oddając w ręce myśliwego.

Na polankach pan Władysław zagrzebywał w śniegu schwytane w sidła zające i chytrze ukrywał nad nimi żelazne potrzaski, nasadki, stępcie na rysie i wilki.

Strzelał do popielice i połujących na nie tchórzów.

Urr tropił czujne i śmigłe sobole i zapędzał je na samotnie stojące drzewa. Wtedy strzelec otaczał drzewo „mrzeżnią” — siecią, opartą na cienkich prętach wiklinowych i raz po raz ciskał w gąszcz gałęzi kawałkami kory, szyszkami i złodowaciatym śniegiem.

Puszyste zwierzątko, ukryte wśród konarów, wypadło przerażone, zeskakiwało na ziemię, aby ukryć się na innym drzewie, trafiało w sieć, która opadała raptownie, a w jej okach i zwojach miotła się i wiklał coraz bardziej drogocenny sobol, aż ginał od ciosu, zadanego mu kolbą karabinu.

Łowy trwały aż do dnia, w którym Wotkuł usłyszał ciche nawoływanie się gilów.

— Musimy wracać! — rzekł. — Wiosna idzie.

Załadowali całą obierz i zdobyli na sanki i po twardym jeszcze śniegu ruszyli na Czin-War.

Dnie stawały się coraz dłuższe, a słońce posyłało na spowitą w biały całun ziemię cieplejsze już promienie.

LUDZIE

Na otwartych miejscach i zgrzewkach śnieg zaczynał topnieć na powierzchni i wieczorami okrywał się „nastem” — warstwą cienkiego lodu.

Na potokach, płynących przez torfowiska, tam i sam potworzyły się już „pojmy”, nad którymi kłębiły się obłoki pary.

Na połoninach gdzie się zaczynały bielaki, w gąszczu drzew śmigały wiewiórki, w krzakach, jeszcze nagich, lecz pęcznieć i czerwienią nabrzmiewać zaczynających, wabiły się i niespokojnie szczebiotały ptaszęta, a gdy łowcy docierali już do Algimu, gdzie w borze zatokował przed czasem niecierpliwego głuszcę, lecz umilkł niebawem, gdyż zamieć jąła gwizdać i sieć biczami mokrego śniegu.

Obfitą i cenną zdobycz przywiózł zesłaniec do osady nad Algimem. Pani Julianna z zachwytem przyglądała się rozwieszonym w kleci skórom niedźwiedzi, rosomaków, rysiów, wilków; rudym i ciemnobrunatnym lisom, prawie czarnym sobolom i kunom, żółtawym tchórzom, ogromnym pękom białych gronostajów, niebieskich popielic i płowych łasic.

— Skarby to nielada! — mówiła, spoglądając na męża.

— To też sprzedam to wszystko z lichwą! — odparł Lis z dumą w głosie. — Wotkuł odda moje futra Rodionowowi, a ten, jak nikt inny, potrafi je spieniężyć!

Samojedzi, wypocząwszy trzy dni w gościnnym domu Lisów, zaczęli się przygotowywać do dalszej drogi.

— Niech tylko lato przyjdzie i wysuszy bagniska, przekonujemy do was, nad Algim! — oznajmił na pożegnanie Wotkuł.

Zesłaniec odparł po namyśle:

— Dziękuję wam, przyjacielu, lecz chciałby prosić was, abyście zaczekali, aż sam was o to poproszę...

Wotkuł zajrzał mu w oczy pytająco.

— Tak! Zaczekajcie, bo... bo mogą zajść zmiany... muszą zajść! — powtórzył zesłaniec.

Wotkuł, zapalwszy fajeczkę, mruknął:

— Rozumiem!... Chcecie prosić władzę, aby pozwoliły wam powrócić do Narymu?

Lis potrząsnął głową i zawołał z oburzeniem:

— Nigdy o nic nie będę prosił! Mógłbym to dawno uczynić przez rewizora barona Tolla, a nie skorzystałem z jego pomocy. Moskale nie usłyszą z ust moich żadnej prośby!

— Tedy nie pojmuję... — szepnął Wotkuł.

— Być może z czasem zrozumiesz, bracie, — odpowiedział Lis — bo sam dotąd nie wiem i objaśnić tego nie mogę...

Samojedzi odjechali.

Lisowie po długiej rozłące zostali wreszcie sami.

Pan Władysław opowiadał żonie o trudach zimowych łowów, o licznych przygodach swoich, sprycie i rozwadze Urra. Z pewnością wspominał przyjaźń Samojedów i dziwne, pełne dzikiego uroku noce, spędzone przy ognisku w tajdze śniegiem zasypanej, skutej mrozem, pełnej tajemnic bez liku i czyhającej zewsząd śmierci.

— Władeczku! — zawołała pani Julianna, składając ręce jak do modlitwy. — Zastanawiałam się nad tym nieraz, po co wyruszyłeś na wyprawę? Na co nam pieniądze tu, w tym pustkowiu?

Lis milczał. Ujął w swe ręce dłonie żony i ucałował je.

— Odpowiedz! — nalegała.

— Odpowiem z czasem, bo teraz jeszcze sam nie wiem; czuję tylko, że powinienem był zdobyć pieniądze i — zdobyłem!... — szepnął.

Pani Julianna dostyszała coś niedopowiedzianego w głosie męża, pochyliła się i długo wpatrywała się w jego oczy, nagle zamglone, jak gdyby niewidzące.

O nic więcej nie pytała i tylko ukradkiem rzuciła spojrzenia na twarz tego beztróskiego zawsze i pogodnego człowieka, teraz coraz częściej wpadającego w zadumę.

Roman i Garsa cieszyli się niewymownie z powrotu gospodarza i oprowadzali go po „zaimce”, pokazując, co nowego przez czas jego nieobecności zrobili.

— Tylko patrzeć „wczół” się zacznie, — zauważył Lis. —

16) Śnieg szybko topnieje. Trzeba sieci obejrzyć, Romanie, a ty, chłopcze, nabij lodem piwnicę pod szpiżarnią...

— E-wwa! — zarechotał Garsa. — Dawno już nabilem...

— Sieci też w porządku! — zamruczał Roman. — Uplotłem jeszcze inną, aby osobniej było „rybaczyć” na wartkiej rzece... a i drugie jeszcze czółno wypaliłem z modrzewiu, który wicher obalił na górze...

— No, to widzę, że wszystko w porządku, o wszystkim pomyśleliście, chłopcy! — zawołał pan Władysław, klepiąc Romana i Garsę po ramieniu.

— Od tego my tu... — odmruknął ponury chłop.

— Chi-chi-chi! — zapiszczał głupkowato wyrostek i zatrząsał rękami z wielkiej uciechy.

ROZDZIAŁ XIV

WIOSNA

Z dniem każdym wiosna odnosiła nowe zwycięstwa.

Śnieg ściemniał i opadł.

Lód na Algimie i na potoku popękał.

Na modrzewiach wykwitły nikiłe, blade, zlepione żywicą miotki miękkich igieł.

Szmaragdowe świeczki wybijały na ciemnych łapach świerków i sosen. Tam i sam na białych połoninach potworzyły się czarne lysiny i natychmiast zielenieć się zaczęły i okrywać papkami puszystych, żółtych kwiatów i skręconych w spirale pędów paproci.

Na nabrzmiałych sokami gałęziach krzaków powyrastały jeszcze korą okryte pochewki zwiniętych, uspionych listków.

Nad borem sosnowym, pod obłokami zawisły pierwsze klucze żorawi i łabędzi, a ich kieranie i jękliwy klangor i w dzień i w nocy rozbrzmiewał nad Czini-Warem; po nich wkrótce ogadzać zaczęły sznury dzikich gęsi, gwizdać i krechtać oszalałe od szybkiego lotu, bezładne stada kaczek.

Przelotne ptaki zniżyły swój lot nad Algimem i, krążąc, powoli opadały na tundrę, gdzie w słońcu połyskiwały już zwierciadła jezior.

Na polany leśne zlatywały się cietrzewie syczące i nadęte; rozwinawszy białopióre wachlarze ogonów, wykonywały taniec godowy.

Mieniające się zielenią i lazurem głuszcze wyśpiewywały tajemniczy hymn wiosenny, puchały i klaskały po ostępach czarnoleśnia i dzikich uroczyskach.

Z tundry dobiegało niemilkące kokocielenie pardw, poświst i przeciągłe, drzące granie kulików różnorakich, małych i dużych, szarych i rdzawych, albo też opierzonych wspaniale i barwnie; zewsząd zrywały się jęki czubatych czajek, miotających się nad moczarami.

Wypełniona po brzegi rzeka podniosła wreszcie lód, potrzaskała go, zakręciła w szalonych wirach, rozbiła o skalne przylądki i porohy, niosąc na wschód.

Pewnego razu do chaty wbiegł Roman i zawołał do Lisa, który wrócił przed chwilą z tundry i wyjmował z worka upolowane ptactwo:

— Panie! Panie! Do Algimu weszły tajemnice... Ławą idą, aż im grzbiety z wody wystają!

— Wozń! Wozń! — wtórował mu Garsa, klaszcząc w dłonie.

Zesłaniec przebrał się szybko i zbiegł ku rzece.

Istotnie całe łożysko było zapchane rybami. Duże, srebrzyste, o czerwonych grzbietach posuwały się przeciwko prądowi, wyskakując ponad wodę i wpadając do małych zatoczek. Niektóre wchodziły do potoku i płynęły w górę.

Spostrzegłszy to, Garsa krzyknął:

— Zbuduje jaz pod lasem i zastawię wężerze.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł, kulejąc i śmiejąc się radośnie.

Pani Julianna, stojąc obok męża, przyglądała się napływającym ławicom ryb.

— Ech! — westchnął zesłaniec. — Tu dopiero można byłoby zagarnąć niewodem! Ino prąd niezmiernie wartki, a łożysko wąskie okrutnie. Trzeba będzie małą siecią łowić.

Pani Lisowa uśmiechnęła się i, grożąc mężowi palcem, odparła:

— Ach ty, drapieźniku jeden! Chciwce przebrzydły! Zaradzi przypomnę, co w takich razach mówił pan Waclaw Potocki: „Wielki poeta nasz i mądry człowiek.

Podniósłszy rękę w górę, wyrecytowała:

„Wszystko wielkie za wielkim iść powinno rodem, Na przykopę z wierciochem, na Wisłę — z niewodem”.

— Zrozumiałeś? — zapytała ze śmiechem.

— A jużci, niema innego sposobu! — kiwnął głową Lis. — Spróbuję tedy „wierciochem”, czyli małą siecią...

ANGARA KOLUMNĄ MŁODYCH

Na tropie harcerskim

Jak to na ćwiczeniach ładnie!..

W sobotę, 5. czerwca b. r., o godz. 18,30 w Domu Polskim w Rydze zebrała się spora gromadka starszych harcerzek z (20, 53 i 68) drużyn polskich ŁGCO, na mające się odbyć ćwiczenia nocne.

W oczach wszystkich zainteresowanych: ćwiczenia nocne? Jak to ma być? Dokąd pójdziemy? Czy na całą noc?

A potem przyciszone, dyskretnie pytania: „Pamiętasz, sygnalizację latarką?” „A gwizdkiem?” „A masz coś do zjedzenia?”

Po skonstatowaniu faktu, że drużyny są przewidujące i wiedzą, że nocą okropnie się chce jeść — wyruszyliśmy na poszukiwanie jakiejś wiadomości z Komendy (drużynowe 86, drużyny), która dziwnie — ku zgorzeleniu druhen — spóźniła się.

Poszukiwania trwały niedługo. W izbie, na tablicy rozkazów, wisiał list do nas. Pisany był względnie łatwym szyfrzem, więc z odczytaniem nie było dużo kłopotu: „Elektryczny wóz... pędzić do końca... Nr. 9...”

A więc ćwiczenia się rozpoczęły. Spojrzałyśmy po sobie i — o rety! — skonstatowałyśmy, że były wśród nas i takie „złotodzioby”, które na ćwiczenia nocne ubrały się w białe płaszcze i... Ale już lepiej nic więcej na ten temat nie powiem. Tym czasem dochodziła godzina 19-ta. Zaczekałyśmy jeszcze „na wszelki wypadek” z 5 minut i wyruszyliśmy na przystanek tramwajowy.

W świetnych humorach dojechaliśmy do Ilgiciemu, gdzie znalazłyśmy dalsze polecenie: „Iść do II toru... na skraj łączki...”

Już dochodziliśmy do tego II toru, gdy naraz — gwizdek... Tak, najwyraźniej, gwizdek za nami, gdzieś w okolicy I toru. Co to ma znaczyć, co znowu za balagan? Przecie najwyraźniej: „do II toru...” Trochę niezadowolone, popędziłyśmy naprzelaż przez las z powrotem i — o zgrozo! — okazało się, że sygnały pochodzą od dwóch spóźnionych na ćwiczenia harcerzek. Mocno z tego faktu byłyśmy niezadowolone, więc też dwie te biedne spóźnione musiały wysłuchać całej serii napomnień i kazań. Ale wreszcie ten II tor! Skierowałyśmy się po nasypie w kierunku łączki, gdy naraz, koło domku dróżnika, błysnęła latarka. Któraś krzyknęła: „Pociąg idzie!” i, mimo że była największą ciszą w lesie, buchnęłyśmy wszystkie, całą lawiną, do rowu, ażeby uniknąć rzekomego nieszczęścia. W parę sekund później poznałyśmy sygnalizującą Komendantkę ćwiczeń i wygramoliliśmy się spowrotem na nasyp. Aż tu znów pech. Myśląc, że będzie depesza, przygotowujemy kartki i ołówki, ale ze zdziwieniem widzimy, że stacja nadaw-

cza milczy. Czekamy — i nic. I naraz odzywa się głos: „Prosimy do nas!” Mocno zawstyżone, przymaszerowałyśmy do stojącej na mostku Komendantki. Tutaj podzielone zostaliśmy na zastępy: „Sów” i „Puszczyków”.

Zostałam odstawiona do „Puszczyków”. Otrzymałyśmy polecenie zrobienia jakiegoś dobrego uczynku. Och, te dobre uczynki! Gdy nie ma nagłej potrzeby, to się ciągle zdarzają okazje do ich spełnienia, ale spróbuj no, siostrzyczko, otrzymać od drużynowej albo zastępowej polecenie spełnienia takiego uczynku, a dość nakręciś głową, zanim coś wykombinujesz. Tak też było i teraz. Ani jakiegoś zranionego stwórzonka, ani złamanego drzewka, ani kogoś, kogo by można było poprosić o opuszczenie chusteczki. Nie, ale to nic do zrobienia. W zapale poszukiwania weszłyśmy nawet na małe, ciche podwórko dróżnika, ale i ono było czysto zamiecione, grządkę wypielone. Na szczęście jednak znalazła się jedna zachwaszczona grządka, więc z zapalem wzięłyśmy się do roboty, gdy naraz otrzymałyśmy polecenie iść za „Sowami”, obserwować je i sztafetą dostarczać wiadomości Komendantce. Zaczęły się skradania, krycia za sosnami, krzaczkami, obserwacja Sów, podśluchiwanie i ciche sygnały porozumiewawcze.

Wysłałyśmy jedną druhenę z raportem, potem drugą, trzecią i posuwałyśmy się ciągle naprzód, gdy naraz usłyszałyśmy tupot nóg. Zaczaiłyśmy się w krzakach i zamarłyśmy w bezruchu, zanim biegnące drużyny minęły nas. Już miałyśmy wylazić ze swych kryjówek, gdy dobiegł nas cięły szelest suchych gałązek... Najwyraźniej ktoś ku nam się skradął. Po chwili ujrzaliśmy ciemną postać, posuwającą się zwolna, ale stale naprzód. Zamarłyśmy w przerażeniu. Już tylko 5 kroków nas dzieli, już tylko 3... już 1... Widzimy szeroko otwarte, z przerażeniem wpatrujące się w nas, oczy i zaczyna nas dusić śmiech. Zastłaniamy usta rękoma i śmiejemy się, śmiejemy do lez. Okazało się, że te przerażone oczy należały do zabłąkanego „Puszczyka”, wysłanego z raportem do Komendy. Wkrótce usłyszałyśmy sygnał do odwrotu. Pierwsze ćwiczenie skończone. W dalszym ciągu otrzymujemy polecenie przygotowania szeregu pokazów na ognisko. Z tym poszło b. łatwo, ponieważ drużyny, rozbawione i zadowolone, spalyły projektami jak z rękawa.

Następne ćwiczenie: „Iść tyralierką prosto przez las do drogi”, było, widocznie, za trudne, bo przy sprawdzaniu okazało się, że te drużyny, które szły z brzegu, znalazły się gdzieś w środku szeregu, a te ze środka — na skrzydłach. Jak to się stało — niewiadomo. Widocznie jednak jakiś „zły” mylił im drogę.

Ostatnia, — najprzyjemniejsza część ćwiczeń, to — ognisko. Po przyciszonym odśpiewaniu „Iż będzie trwać”, zaczęło się omawianie ćwiczeń. Wtedy dowiedzieliśmy się o zadaniu Sów. Przechodziły one przez szereg placówek, na których rozpytywano je o życiorys Emilii Plater, o orientacji w terenie i t. p. Podobno i z tym była cała historia, bo Komendantka miała możliwość zaobserwowania przyjemnego zdziwienia na twarzach druhen, gdy się dowiedziały, że Emilia Plater urodziła się w Latgali.

Dużo było humoru w czasie wzajemnego opowiadania sobie przygód.

Nastąpiły pokazy. Więc „Puszczyki — pазie Królowej Nocy — bierzemy ten las we władanie”, „Śmiertelny” taniec puszczyków, a na zmianę „legendy” o babci, której, zamiast bolącego zęba, wydarło język, a ona za to operatora okropnie wymyślała i t. d., i t. d. —

Humory wspaniałe, ale już czas kończyć. A więc pobudka, zlikwidowanie śladów po ognisku i — marsz powrotny, I właśnie wtedy nastąpiły te najbardziej „urocze” chwile, kiedy to, idąc lasem, z wielkim namaszczeniem opychałyśmy się zabranymi z domów smakółkami. I teraz się dopiero wydało, że Komenda była najbardziej „doświadczona”, ponieważ żadna z tych „wysokich” osób nie zaopatrzyła się w specjalę.

Gdyśmy już wyszły z lasu na pola — ujrzaliśmy na horyzoncie, nad dachami domów, jakiś wystający ognisty rozek. Zdziwione bardzo, zastanawiałyśmy się, co też to może być. Czyżby wschód słońca? Przecież jeszcze za wcześnie, bo dopiero dochodzi 2-ga. A może to księżyc? Chociaż z jakiej racji ma księżyc wschodzić nad ranem, kiedy jego miejsce jest na niebie przez całą noc? Naraz Komendantka z grobową miną i bardzo poważnie zawyrokowała, że to... kometa. Napewno kometa, właśnie czytała w gazecie, że się pojawiła... Więc to napewno ona. Z przerażeniem spojrzaliśmy na kometę, a z uszanowaniem na Komendantkę, która to tak mądrze rozproszyła nasze wątpliwości, gdy — naraz — dostrzegłyśmy, że ta kometa, to najzwyczajniejszy w świecie księżyc, który, licho wie dlaczego, wschodził dopiero teraz. Widocznie „zły” wodził go gdzieś po manowcach tak, jak te nasze drużyny, które szły tyralierką, wierząc, że idą prosto przed siebie.

Spiewając piosenki na wszystkie możliwe i niemożliwe głosy, przemaszerowałyśmy rozbawione przez pola oraz lasek i weszłyśmy do Ilgiciemu. Z zalem musiałyśmy pożegnać nasze piosenki, a następnie i rozchodzące się do domów i do autobusów — rozbawione, zadowolone z ćwiczeń, zachwycone pięknnością nocy i świtu — druhenki.

J. P.

Kronika harcerska

Z LGCO i LSCO

— 4. LIPCA 1937. R. W BULLUCIEMIE zostanie otwarty Wszelchłotewski Złot Jubileuszowy LGCO. Oficjalne otwarcie nastąpi o godz. 10-tej rano. Udział w Złocie wezmą wszystkie okręgi. Ryga będzie reprezentowana przez 3 hufce. Należące do 3-go hufca polskie drużyny harcerzek w Rydze pod komendą drużny Walerii Ootowej wyjeżdżają na teren już 30. czerwca rano. Zbiórka harcerzek, jadących na obóz, w Domu Polskim o godz. 9. rano 30 czerwca. Skład Komendy Złotu przedstawia się, jak następuje:

naczelniczka Złotu: drużna naczelniczka Elza Rozenberg, komendantka Złotu drużna Krawalis, oraz przyboczna Komendantki drużna Leitland. Ponadto gospodarka złotowa zajmują się drużny: Freimanis i Ootowa.

— 1. czerwca b. r. polskie drużyny żeńskie LGCO w Liepai wyjechały na obóz do Bernati. Okolica malownicza nad brzegiem morza. Drużny, po sprawnym rozbięciu obozu, zabrały się pilnie do pracy. Obóz odwiedziła drużna Janina Witek z Rygi.

Ze wszystkich stron świata

Z życia Polaków na obczyźnie

(Od własnych korespondentów)

ARGENTYNA

POLSKA SZKOŁA BALETOWA powstała ostatnio w Buenos Aires pod nazwą Akademii Sztuki Choreograficznej. Szkoła, mieszcząca się we wspaniałym, olbrzymim gmachu, założona została przez baletmistrza Mieczysława Borowskiego, cieszącego się w stolicy argentyńskiej wielką popularnością dzięki swym wybitnym zdolnościom. Sala główna szkoły ozdobiona została obrazami Zofii Stryjeńskiej, przedstawiającymi wszystkie tańce polskie w brawnych strojach regionalnych.

KURS DLA REŻYSERÓW PRACY SCENICZNEJ zorganizowany został w lokalu „Ogniska Polskiego” przez Ogólnopolski Komitet Oświatowy w Argentynie. Wykłady obejmować będą przedmioty zasadnicze, dotyczące organizowania i racjonalnego prowadzenia teatru amatorskiego, charakterystykę teatralną oraz zajęcia praktyczne.

AUSTRIA

KONSOLIDACJA KOBIEC POLSKICH W AUSTRII. Konsolidacja na terenie Austrii postępuje różnym tempem. Pod znakiem konsolidacji odbyła „Liga Kobiet Polskich” swoje walne zebranie. Nowo wybrany zarząd zdążył, w myśl uchwały walnego zebrania, do wciągnięcia w orbitę działalności „Ligi” wszystkich kobiet polskich, zamieszkałych w Austrii. Na ostatnim walnym zebraniu przeprowadziła „Liga” także reorganizację swego zakresu działania pod względem celów i planu pracy, przystosowując je do ogólnych ram programowych Związku Stowarzyszeń Polskich w Wiedniu, jako naczelnej organizacji terenowej. Zarząd „Ligi” postanowił nawiązać kontakt z organizacjami kobiecymi w kraju za pośrednictwem Światowego Związku Polaków z Zagranicy.

FRANCJA

HARCERZE POLSCY W ŚRODKOWEJ FRANCJI. Harcerstwo nasze w środkowej Francji wykazuje nie mniejszą żywotność, niż na innych terenach. Ostatnio odbył się tam zlot okręgu harcerzy w Montceau-les-Mines, gdzie rozbito kilkanaście namiotów. W okresie zlotu harcerze wystą-

— NA MIĘDZYNARODOWY ZŁOT SKAUTÓW W HOLANDII, na który przybędzie przeszło 30.000 skautów z 45 państw, wyjeżdża również reprezentacja LSCO w liczbie 30 osób pod kierownictwem instruktora W. Rullis'a.

— NA DŁUŻSZĄ WYCIECZKĘ BAŁTYKIEM do Gdyni wyruszyła w ub. tygodniu wyprawa 16-tyk morskiej z Rygi. Kierownikiem wyprawy jest druż Kuczuk. Wyprawa wyruszyła na specjalnie przystosowanej do podróży morskich łodzi, ofiarowanej swego czasu drużynie przez Posła R. P. w Łotwie min. Fr. Charwata.

Kronika życia bieżącego

PAŃSTWOWE POLSKIE GIMNAZJUM W RYDZE w roku bieżącym ze świadectwem dojrzałości ukończyli następujący uczniowie: Achramowiczówna Eleonora, Bałod Paweł, Dubnicki Edward, Dudnikow Edward, Gaidziel Bogumił, Giedwillówna Czesława, Giedwillówna Romualda, Hamrychówna Maria, Iwanisówna Helena, Kaszewska Wiktoria, Kazanowski Jan, Lantażanka Wanda, Margiewiczówna, Janina, Massan Romuald, Nagłowski Zbigniew, Seliszówna Albina, Smilginówna Władysława, Surgoftówna Anna, Wasilewska Jadwiga.

PAŃSTWOWE POLSKIE GIMNAZJUM W REZERVE za uprzejmym pośrednictwem „NASZEGO ŻYCIA” składa serdeczne podziękowanie gronu studentek w Rydze pod przewodnictwem p. Pauliny Długoborskiej za piękną nagrodę (książki) dla odznaczenia najlepszego wśród tegorocznych absolwentów, oraz p. Anieli Mullerowej z Kurmy za ofiarę w kwocie Łs 5.— na rzecz bursy przy gimnazjum.

Z POLSKIEGO STOWARZYSZENIA AKADEMICKIEGO W ŁOTWIE. Nowo obrany na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu 18. czerwca b. r. Zarząd Polskiego Stowarzyszenia Akademickiego w Łotwie przedstawia się jak następuje:

Prezes — Romuald Hryniewicz, wiceprezes — Stefania Kublińska, sekretarz — Janina Onoszkówna, skarbnik — Wilhelmina Seliszówna oraz gospodarz — Romuald Wysocki.

WYCIECZKĘ DO KRASŁAWIA na św. Donata organizuje Polsko-Katolickie T-wo Młodzieży „Pamięć”. Wyjazd z dworca Nr. 1 w sobotę 3. lipca o godz. 15,50, powrót 4. lipca o godz. 24,00. Koszta podróży wynoszą dla członków Łs 7.—, dla pozostałych Łs 8.—. Zapisywać się można w poniedziałki, środy i piątki od godz. 9. do 10. i od godz. 18. do 19., w kancelarii przy kościele Matki Boskiej Bolesnej u ks. J. Butułowicza do dnia 28. czerwca b. r.

pili z pokazami dla publiczności i rozgrywkami o pierwszeństwo drużyny. Poza tym w kolonii Le Creusot odbył się zlot zuchów, na który zjechało ponad 100 chłopców. Obydwa złoty są dowodem rozwijającego się ruchu harcerskiego na tamtejszym terenie, a dla samych harcerzy są bodźcem do pracy w tej organizacji.

HARCERSTWO POLSKIE WE FRANCJI NA FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ. Pragnąc uczcić 10-lecie pracy drużna przewodniczącego, Komenda Główna Z. H. P. we Francji wezwała drużyny i gromady zuchowe do składania ofiar na Fundusz Obrony Narodowej.

Do apelu stanęło 97 drużyn harcerzek i harcerzy oraz grono instruktorskie. Ogółem złożono 2.089,50 frs.

RUMUNIA

Z ŻYCIA KULTURALNEGO POLAKÓW W CZERNIOWCACH. Niedawno w Czerniowcach została wystawiona przez Sekcję Miłośników Sceny w sali Domu Polskiego sztuka L. Rydla „Zaczarowane Koło”. Do współpracy przystąpili wybitni Polacy z tego terenu, starając się, by przedstawienie wypadło jak najlepiej. Wystawienie „Zaczarowanego Koła”, wymagającego dużej pracy przygotowawczej, było doskonałą szkołą wychowawczego oddziaływania placówki na naszych rodaków, a osiągnięte sukcesy wpłynęły na wzmocnienie wiary we własne siły i wzbudziły szacunek miejscowej ludności dla pracy Polaków.

U. S. A.

25-LECIE PRACY REDAKTORSKIEJ ZAŚLUGONEGO DZIENNIKARZA, prezesa Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Stanach Zjednoczonych, redaktora Franciska Barcia — stanowi piękną kartę w dziejach polskiego dziennikarstwa za oceanem. Gdy przed 25-ciu laty, 15. maja 1912. r., na mocy uchwały zarządu głównego Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego, młody, bo wówczas 28-letni, red. Barć, objął redakcję organu Zjednoczenia „Naród Polski”, pisał w artykule wstępnym:

„Pozostanę we mnie zaufania nie zawiodę i wyteżę wszystkie siły, by sprawy naszej organizacji miały we mnie oddanego i pracowitego rzecznika. To swe przyrzeczenie red. Barć potwierdził pełną zapalem i energią pracą, zarówno na stanowisku kierownika „Narodu Polskiego”, jak i później, gdy od roku 1921. stanął na czele pism Zjednoczenia, przyczyniając się w niemałym stopniu do rozwoju swej organizacji, która dziś jest, obok Związku Narodowego Polskiego, najsilniejszą wśród Polonii Amerykańskiej.

Dążenie do skonsolidowania wychodźstwa cechowało zawsze wystąpienia publicystyczne red. Barcia, który w 1935. r. pisał: „Wspólne poszanowanie, wspólna praca, gdy wspólny atakuje wróg, a nie codzienne szpillkowanie w organach organizacyjnych — oto cele wielkie, dla których ziszczania zawsze gotowiśmy pracować, a wykraczających przeciw temu wielkiemu programowi ścigać jako zdrajców polskiej sprawy w Ameryce”.

WYSTAWA SZTUKI POLSKIEJ. W dniu 1-go czerwca b. r. została otwarta w Nowym Yorku wystawa sztuki polskiej, która już w ciągu maja cieszyła się wielkim powodzeniem w Brooklynie. Salę, przeznaczoną na wystawę, pięknie ozdobiono portretami, wspaniałymi obrazami artystów polskich, planami, mapami i t. d.

Książki polskie starannie wydane, nowoczesne wyroby krajowe, stare monety i wiele innych cennych pamiątek polskich — budzą żywe zainteresowanie polską sztuką wśród zwiedzających, tak rodaków, jak i Amerykanów.

Wystawa będzie trwała do końca czerwca.

BRAZYLIA

SUKCESY POLSKIEGO ARTYSTY W BRAZYLII. W Kurytybie utworzył wystawę obrazów polski artysta — malarz — Czesław Lewandowski, który przebywa od kilku lat w Sao Paulo. Polak zdobył już tam sobie uznanie nawet wśród dotychczasowych przeciwników.

Obecna wystawa Lewandowskiego jest ściśle parańsko-regionalna i cieszy się bardzo wielkim powodzeniem. Panuje na niej prawdziwy ścisk, a szereg obrazów zostało zakupionych jeszcze przed otwarciem wystawy.

Tematy obrazów wzięte są z puszczy parańskiej, z życia kabokli, doskonale w formie, pełna swiata i słońca brazylijskiego.

CZECHOSŁOWACJA

POLSCY KUPCY I RZEMIEŚLNICY W CZECHOSŁOWACJI ORGANIZUJĄ SIĘ. Jednym z najważniejszych zadań pracy narodowej wśród Polonii Czechosłowackiej jest rozbudowa polskiego stanu średniego, szczególnie kupiectwa i rzemiosła. W tym zakresie odniesiono ostatnio poważny sukces, jakim jest utworzenie Towarzystwa Kupieckiego-Rzemieślniczego pod prezesurą Józefa Wałacha. Nowa placówka, której siedzibą jest Czeski Cieszyń, ma za zadanie skupienie kupców i rzemieślników polskich na terenie Śląska i Moraw. Sądząc należy, że zadanie to spełni dobrze, skoro już dotąd zgłosiło się do Towarzystwa 230 członków.

Towarzystwo zamierza również wydawać własny miesięcznik, któryby się stał organem naszych kupców i rzemieślników w Czechosłowacji.



Polacy w malowniczych, barwnych strojach krakowskich we Francji.

Witold Massan

Turniej szachowy w Kemeru



Apszenieks — Lotwa

Kemeru, w czerwcu

Długo i niecierpliwie wyczekiwany międzynarodowy turniej szachowy rozpoczął się w ubiegłym tygodniu.

Miejscem rozgrywek jest perła lotewskich miejscowości kuracyjnych — Kemeru.

Wybór ten posiada ogromne propagandowe znaczenie. Podczas otwarcia turnieju wice-premier M. Skujenieks podkreślił, że oczy całego świata będą skierowane na Kemeru, gdzie najlepsi strażnicy szachowi i mistrzowie logicznego myślenia będą prowadzili bezkrwawą walkę o pierwszeństwo.

Kemeru zasługują na to, aby zwrócono uwagę na ich lecznicze właściwości nie tylko u nas, w kraju, ale także w Europie.

Uzdrowisko to, co prawda, znane jest od dawna. Ale dopiero ostatnio, po wprowadzeniu wielu technicznych ulepszeń i po zbudowaniu wspaniałego hotelu, może ono śmiało zadzwoić najwzbredniejszych, najkapryśniejszych gości. To też szachiści, którzy reprezentują dwanaście państw, będąc „narodem” bardzo nerwowym i wymagającym, z uznaniem wypowiadają się o okolicy i o powietrzu, działającym kojąco na przewrażliwione nerwy.

Przyjechałem do Kemeru w dniu otwarcia turnieju. Niezwłocznie udałem się do hotelu.

Tym samym pociągiem przyjechała grupa lotewskich szachistów z Apszeniekiem i Petrowym na czele.

Z wyjątkiem Apszenieka, są to przeważnie młodzi gracze, którzy jednak potrafili dowiedzieć, iż mogą śmiało iść w zawody z ich bardziej doświadczonymi kolegami z zagranicy. Na tarasie hotelu



Dr. Tartakower — Polska

skupiło się całe towarzystwo: goście i uczestnicy turnieju. Gromada fotografów, jak stado wróbli, obsiadło grosmeisterów i zawzięcie przytykało swymi aparatami.

Dr. Alechina poznałem od razu. Jego wysoka postać z daleka wydzielała się z grona współ kolegów, przeważnie małego wzrostu. A więc tak wygląda ten oślawiony były mistrz szachów — pomyślałem, patrząc na jego śmiałe ruchy i na pewne siebie obejście.

Tuż obok zauważyłem wysoką, rudowłosą kobietę. Była to jego żona. Angielka z pochodzenia. Swego męża nie odstępowała ani na krok.

Reszewski, mistrz U.S.A., jest Żydem, po-



Dr. Alechin — Francja

chodzi z Polski, ale, mieszkając stale w Ameryce, reprezentuje ją na międzynarodowych turniejach z niemałym powodzeniem.

Kilkuletnim dzieckiem rozpoczął swą karierę szachisty. Jako „wunderkind” — cudowne dziecko — podróżował po Europie, zwyciężając najlepszych mistrzów. Widocznie jednak zbyt wczesny i szybki rozwój umysłowy odbywał się kosztem rozwoju fizycznego. Mimo swoich dwudziestu pięciu lat Reszewski jest bardzo poważny. To samo dałoby się powiedzieć o Fine (Fain), również reprezentancie USA. Flor (Czechosłowacja) przyjechał do Kemeru z młodzieńką żoną. Sprawa on wraźnie onieśmiałego młodzieńca, którego w zakłopotanie wprawia obecność tylu naraz ludzi.

Z pośród 18 graczy brakowało na otwarciu młodego mistrza Estonii — Kerresa.

Zjawiał się on dopiero na drugi dzień. Miał rację dr. Alechin mówiąc, że uczestników tego turnieju można podzielić na dwie grupy: młodych i starych. Do grona starych matadorów zaliczył on siebie i dr. Tartakowera (Polska). Reszta — to młodzi, ale już pełnowartościowi i niebezpieczni przeciwnicy.

Po rozlosowaniu rozgrywek, program pierwszego dnia zakończono.

Podczas następnych kilku dni dały się zaobserwować niektóre charakterystyczne szczegóły, dotyczące sposobu i techniki prowadzenia gry.

Szachy są grą bardzo skomplikowaną, wymagającą zrównoważenia, mocnych nerwów, opanowania i przede wszystkim — umiejętności logicznego myślenia. Człowiek zaś jest maszyną, kierowaną wyłącznie nerwami, toteż nie dziwnego, że



Reszewski — USA

nadużywanie działalności aparatu nerwowego doprowadza do ogólnego osłabienia. Brak tej sprawności dał się zaobserwować u niektórych graczy i to nawet w bardzo jaskrawy sposób.

Ale naogół biorąc gry toczyły się według ustalonych przepisów i przewidzianych norm.

Obok każdego szachisty leżały zeszyty, do których zapisywało się wszystkie posunięcia.

Należało w ciągu 5 godzin zrobić aż 40 posunięć. Kto zbyt długo myślał przed zrobieniem posunięcia, ten w rezultacie musiał pędzić całą parą, ażeby nie przegrać z powodu straty czasu.

Młody mistrz Lotwy dlatego tylko przegrał Reszewskiemu, że w ostatniej minucie musiał zrobić aż pięć posunięć. Tu, gdzie chodziło o każdą figurę, gdzie najmniejszy błąd decydował o wyniku, trzeba było grać raczej intuicyjnie, gdyż do namysłu brakowało czasu.

W rezultacie — przegrana.

Dr. Alechin czuł się pewnym siebie, mając za przeciwnika Steina (Węgry). Małżonka ex-mistrza, obserwując go z daleka, pilnie pracowała nad wzięciem jakiegoś cacka z welny.

Turniej wzbudził zainteresowanie wśród szerszych mas, które usiłują przewidzieć wynik, czy przynajmniej próbują to uczynić.

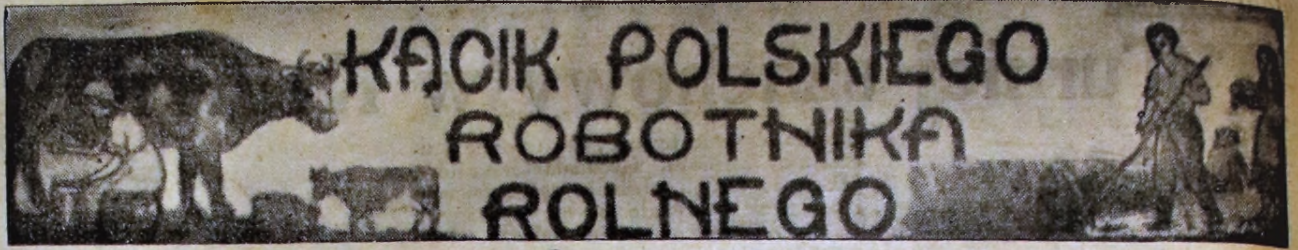
Trudno bawić się w jasnovidza. Kto zwycięży, wskaże przebieg walki. Będzie cna trwała przez dwa tygodnie.

Szala zwycięstwa napewno nie raz i nie dwa przechyli się to w jedną, to znów w drugą stronę.

Jednego możemy być pewni, że pierwszą nagrodę zdobędzie bardziej wytrzymały fizycznie i nerwowo, bardziej zrównoważony.



Keress — Estonia



Stary Bartłomiej ma głos

W ostatnich dwóch numerach „Naszego Życia” w Waszym „Kąciku” ukazały się długie spisy matek tych dzieci, które przebywają w żłobkach w Łotwie. Matki te — to robotnice polskie, pracujące tutaj na roli, których dzieci, najczęściej nieślubne, pozostają wśród obcych, bez należytej opieki rodzicielskiej, a których to dzieci matki owe w spisach wymienione, mimo nawoływania Konsulatu w Rydze, nie chcą zabrać do Polski.

Jak wiadomo, utrzymanie dziecka kosztuje drogo, zwłaszcza utrzymanie poza rodziną — w ochronie lub w żłobku. To też Konsulat Polski w Rydze, w porozumieniu z władzami Łotewskimi, postanowił te dzieci, których ojciec lub matka nie mogą czy nie chcą sami utrzymać — wysłać do Polski. Jak zauważyliście, spisy tych matek, które prawie wyrzekły się swych dzieci, bo na wezwanie Konsulatu nie odpowiadały w ogóle, są obszerne.

Co to znaczy?

Czyżby to, że są wśród naszych robotnic z Polski takie, które, urodziwszy dziecko, nie chcą o nie się troszczyć ani a nim pamiętać?

Niestety, tak jest.

Prawda, szereg robotnic zmieniło gospodarzy i dlatego może trudno je narazie odnaleźć, ale pewna ich część — choć wie, że dzieci swe ma zabrać i wywieźć do Polski — milczy i nie odzywa się na apel Konsulatu.

Czy opór taki jest na miejscu?

Oczywiście, że nie.

Bo i do czego to doprowadzi?

Dziecko i tak zostanie do Polski wysłane, matka również.

Przecież skoro matka jest zła — z jakiego powodu ma cierpieć dziecko?

W takich wypadkach są dwa wyjścia: albo matka będzie dochodzić swych praw na ojcu i ten będzie na utrzymanie swego dziecka płacił, albo matka sama powinna dziecko wychować.

Jest jeszcze trzecie wyjście: nie mieć dzieci w ogóle podczas pobytu tutaj na pracy. Bo i po co się tu przyjeżdża?

Rodzić czy pracować?

Nasze porady i odpowiedzi

Wilkojć Jan — Ape. Poszukiwana przez Pana osoba (W. P.) jest prenumeratorem „Naszego Życia”. Adres: Kabile — Klawu m., Kabiles pag.

Zagranicę prenumerata kosztuje (plus koszt przesyłki) Łs. 1,30 miesięcznie. Na Litwie i w Estonii — tak samo jak w Łotwie.

Dowejko Jan — Saupu. Zaprenumerować gazetę na Litwę można. Prenumerata kosztuje tyle co w Łotwie.

Dobrze byłoby, aby na ten temat w „Kąciku” naszym wypowiedziały się same robotnice i robotnicy. Jak i co myślały? W ogóle powinniśmy więcej do swego „Kącika” pisać i bardziej się nim interesować.

Czym, na przykład, należy tłumaczyć fakt, że na tak wielką ilość robotników polskich, pracujących w Łotwie, tylko nieliczna garstka kupuje (prenumeruje) i czyta „Nasze Życie”?

Czy jest ono — ta Wasza gazetka — niedostatecznie dla Was ciekawe?

Co chcielibyście, aby w niej pisano, ażeby to Was mogło interesować i pobu-

dzić do czytania i prenumerowania?

Może byście sobie napisali o tym do Starego Bartłomieja, a on na łamach Waszego „Kącika” najciekawsze Wasze zdania o piśmie i „Kąciuku” przedstawił i nasświetlił?

Bo to przecież dla Was robimy ten „Kącik” — chcemy przecież, aby docierał on do każdego z Was!

Czekam.

Czekam na listy. Na moc listów, w których powiecie mnie dlaczego nie lubicie lub lubicie „Nasze Życie” jakie ono jest i jakim chcielibyście go widzieć.

Stary Bartłomiej

IV-ty komunikat Konsulatu R.P. w Rydze

Konsulat R. P. w Rydze podaje do wiadomości wszystkim polskim robotnikom i robotnicom rolnym, pracującym w Łotwie, że obecnie nie można przerywać pracy, zrywać kontraktów i wyjeżdżać do Polski na podstawie otrzymanych od rodziny telegramów (depesz) lub listów.

Jeżeli zachodzi naprawdę potrzeba powrotu do Polski, czy to z powodu choroby w rodzinie, czy też w sprawach majątkowych, należy wystarać się o zaświadczenie, wydane przez lekarza powiatowego w Polsce lub Starostwo Powiatowe.

PAMIĘTAJCIE: we wszystkich pilnych sprawach emigracyjnych i robotniczych dzwonić należy do Konsulatu R. P. w Rydze tylko pod Nr. 23568.

Konsulat R. P. w Rydze



Otwarcie wystawy „Praca i kultura wsi” w Liskowie. Prezes Rady Ministrów — gen. Sławoj-Śkładkowski w otoczeniu ministrów J. Poniatowskiego i Zyndram - Kościelkowskiego oraz ks. prałata Bliżńskiego — przechodzi wśród szeregu ludności



SPRAWY GOSPODARCZE



Nasze porady

Wał betonowy do wałowania łąk torfowych. Budowę wału rozpoczynamy w ten sposób, że bierzemy oś z żelaza okrągłego lub czworokątnego, średnicy około 4 cm, długości 130 cm, w kilku miejscach dorabiamy wąsy żelazne, żeby oś lepiej trzymała w betonie. Następnie w kilku miejscach dwóch obręczy żelaznych, o średnicy 10 cm, również przebijamy dziury dla żelaznych wąsów, po czym budujemy formę w rodzaju beczki z jednym dnem, wysokości 100 cm, o średnicy wewnętrznej także 60 cm, we dnie robiąc otwór dla osi. Formę stawiamy dnem na ziemi, przez otwór wsuwamy oś, tak, aby z dołu i z góry wystawała jakieś 15 cm, a na dnie kładziemy jedną obręcz wąsami wygiętymi do środka w górę. Następnie przygotowujemy beton, 100 kg cementu, 0,15 m³ piasku i 0,20 m³ żwiru. Mieszmamy na suchu piasek ze żwirem i cementem, dolewając wody. Po zrobieniu, betonem wypełniamy formę, a następnie zakładamy drugą obręcz. Tęże nie betonu trwa 7—10 dni, po czym formę wyjmujemy. Waga wału wynosi 700 kg.

Oslony dla sadów

Silne wiatry, panujące zwłaszcza w końcu lata i jesienią, a także zimą — czynią w sadach owocowych znaczne szkody. Każde zrzucone przez wiatr jabłko jest potłuczone i wobec tego nie nadaje się do handlu, gdyż szybko ulega zepsuciu. Oprócz tego silne wiatry łamią gałęzie, a w czasie zimy zwiększają niszczące działanie mrozów.

Aby zabezpieczyć sad przed szkodliwym działaniem wiatrów, należy dać mu osłonę z drzew — o ile naturalne warunki położenia tej ochrony nie dają. Wspomnieć należy, że taka osłona nie tylko chroni drzewa owocowe przed szkodliwym działaniem wiatrów, ale ma i inne, nie mniej użyteczne dla sadu, znaczenie: osłona taka chroni glebę w sadzie przed nadmiernym wysychaniem, sprzyjając utrzymywaniu się większej ilości śniegu, wzbogaca ziemię w wilgoć, pochodzącą z topniejącego śniegu, oprócz tego łatwiej utrzymujący się śnieg daje przykrycie dla korzeni.

Przy obsadzaniu sadu drzewami osłaniającymi, należy mieć na wadze kierunek panujących przeważnie wiatrów. W naszych warunkach najbardziej szkodliwymi są wiatry zachodnie i północne. To też z tych stron sad należy osłaniać drzewami. Należy przytem zauważyć, że robienie osłony ze wszystkich stron może być nawet szkodliwe dla sadu, a to ze względu na brak w tym wypadku koniecznego przewiewu, skutkiem czego w sadzie może wytwarzać się nadmierna wilgoć, powodująca rozpowszechnienie się chorób drzew i owoców.

W naszych więc warunkach zachodzi potrzeba stworzenia osłony dla sadu od stron zachodniej i północnej.

Przy sadzeniu drzew osłonowych, należy zachować potrzebną odległość ich od drzew owocowych. Odległość ta wynosi 8 do 12 metrów. Działanie zastłony będzie tym wyraźniejsze, im będzie ona wyższą. Najlepszą osłonę daje świerk (jodła), sadzona w podwójnym szpalerze, w odległości 0,50 do 1,50 metra. Najlepiej przyjmują się i rosną tylko młode świerki, 2—4-letnie, nabyte w szkółkach, gdyż przesadzane z lasów źle się zwykle przyjmują się i rosną najlepiej na wiosnę.

Na szpalery osłonne nadaje się też lipa, która jednak powolniej od świerka rośnie — daje za to dobre pożywienie dla pszczoł, tych towarzyszy każdego, racjonalnie prowadzonego sadu. Mogą być też użyte i inne drzewa, jak grab (gdzie gleba mu odpowiada), leszczyna, nawet wiśnia i dzikie drzewa owocowe. Pamiętać należy, że osłona działa na odległość 20—50 razy większą, niż wysokość samej osłony.

K. P.

Chwasty na łąkach i pastwiskach

Z własnego doświadczenia rolnik wie, że na polu uprawnym chwast jest gościem nieproszonym, a więc bardzo niepożądanym. Zabierając z gleby składniki pokarmowe, chwasty ogladzają rośliny uprawne, obniżając plon, a że są lepiej przystosowane do miejscowych warunków gleby i klimatu, przeto w walce o byt z roślinami uprawnymi częstokroć wycofują zwycięsko. To też plewienie i w ogóle dbałość o czystość pól uprawnych jest stałą troską rolnika i celem wielu zabiegów.

Inaczej sprawa ta się przedstawia, jeżeli chodzi o łąki i pastwiska. Rolnik stwierdza, że łąka czy pastwisko jest zielone, a o to, jakie tam rosną rośliny, zupełnie nie dba. A przecież widzimy tam rozmaite jaskry, szaleje, podbiał, marchew dziką, skrzyppy, szczawiki, babkę i t. p. Aby rosnąć — oczywiście muszą pobierać z gleby pokarmy, zajmują też miejsce, na którym mogłyby rosnać rośliny pożyteczne. Jasną jest rzeczą, że tam, gdzie rozwielenione są chwasty, rośliny pożyteczne czują się źle, gorzej plonują. Bydło, wiedzione instynktem, omija chwasty, ponieważ wiele z nich ma własności trujące, nie chce też jeść siana, w którym chwasty przeważają nad trawami lub koniczynami. Chwasty więc na łące lub pastwisku powinny być tępione nie mniej starannie, jak na polu uprawnym.

Walkę z chwastami na łąkach i pastwiskach należy prowadzić w sposób następujący. Przede wszystkim do siewu używać wyłącznie doborowego zupełnie czystego nasienia. Jak wiadomo, w wielu gospodarstwach do podsiewania łąk używa się t. zw. prochów, wykruszonych z siana. „Prochy” te częstokroć składają się z nasion wyłącznie chwastów. Łatwo

też sobie wyobrazić, jak wygląda po kilku latach taka łąka, obsiewana owymi prochami.

Na glebach zbyt pulchnych, wzdymających się pod wpływem mrozów zimowych, wiechrznią warstwa podnosi się, traci łączność z warstwą dolną, korzenie roślin szlachetnych obrywają się, skutkiem czego rośliny te giną, a ich miejsce zajmują chwasty. Aby tego uniknąć, trzeba łąki i pastwiska na takich glebach na wiosnę wałować ciężkim walcem.

W zwalczaniu chwastów dużą rolę gra czas sprzętu siana. Zwykle rolnicy drobni opóźniają koszenie, aby uzyskać więcej siana. Jest to jednak niewłaściwe, ponieważ trawy drewnieją, są mniej pożywne, chwasty zaś, rozmnażające się z nasienia, osadzają je. Nasienie to, roznoszone przez wiatr, przyczynia się do tym większego zachwaszczenia. Jeżeli więc na łące jest dużo chwastów, to tym wcześniej należy ją kosić, aby nie dopuszczać do osadzenia nasienia. Dzięki też wcześniejszemu koszeniu chwasty znacznie się osłabiają, o ile nie mogą wydać nasienia.

Wreszcie na bardzo zachwaszczonej łące dobrze jest urządzić pastwisko, choćby tylko po pierwszym pokosie. Chwasty, ciągle przygryzane nisko przez zwierzęta, osłabiają się, wreszcie giną zupełnie.

Wszystkie te zabiegi nie są trudne do wykonania, a wyniki dają bardzo dobre. Rolnik powinien stale pamiętać, że największym jego wrogiem jest chwast, niezależnie od tego, czy znajduje się na polu, czy na łące lub pastwisku.

Z WIEDZY I POSTĘPU ROLNICZEGO W Niemczech tytoń ma zastąpić masło

Instytut racjonalnej uprawy tytoniu w Forchheim przeprowadził ciekawe doświadczenia z dobywaniem oleju z nasion rośliny tytoniowej. Wyrosnięte okazy rośliny pozostawiono nietknięte aż do okresu pełnego dojrzenia nasion. Jak wiadomo, chcąc uzyskać wysokowartościowy, liść tytoniowy, odcina się czub rośliny po odpadnięciu kwiatów. Olej uzyskany z nasion rośliny tytoniowej jest tak doskonały, że, według orzeczenia rzeczoznawców, nadaje się dla celów spożywczych bardziej niż dla celów technicznych. Olej ten nie zawiera żadnych substancji szkodliwych, jak np. nikotyny. Instytut w Forchheim propaguje obecnie uprawę tytoniu dla celów spożywczych. W najbliższym czasie oddanych będzie pod uprawę tytoniu dla wyrobu oleju około 15.000 ha. W ten sposób ministerstwo aprowizacji chce zaradzić coraz dotkliwiej w Niemczech odczuwanemu brakowi tłuszczów jadalnych. Niezadługo obywatele Rzeszy doczekają się margaryny z oleju tytoniowego, w niczym nie ustępującej masłu.

Wiech

Wzorowy wdowiec

Pan Feliks Bigosiński, właściciel sklepu spożywczego na Ochocie, owdowiał przed rokiem. Od tej pory poświęcił się całkowicie zajęciom handlowym, zrywając, w myśl zleceń nieboszczki, wszelkie stosunki z alkoholem, a co za tym idzie, wyrzekając się grona wypróbowanych przyjaciół, z którymi niejedną wysuszył butelkę.

Napróżno trzej, najwierniejsi z nich, p. p. Hipolit Żołądek, Edward Rybs i Stanisław Malasiński przychodzili co pewien czas do sklepu, robiąc mu kuszące propozycje.

Zbolały wdowiec, stojąc za ladą w żalobnym smokingu, obszytym białą tasiemką, ważył cukier albo mąkę i z ponurą miną, przeczącą potrzasał głową.

Przyjaciele doszli do wniosku, że pan Feliks jest człowiekiem straconym dla świata, ale postanowili zrobić jeszcze jedną próbę wyrwania go z groźnej apatii.

Oto pewnej soboty zjawili się w magazynie pana Bigosińskiego uroczyście odziani w poważną czerń.

Wszyscy trzej mieli na sobie surduty, w rękach ściągniętych w białe bawełniane rękawiczki dzierżyli błyszczące cylindry.

— Feluś, — przemówił p. Hipolit Żołądek — rzuc no okiem na kalendarz — którego dzisiaj mamy? Czy to czasem nie rocznica pogrzebu twojej nieboszczki?

Pan Feliks spojrzął i odrzekł z niejakim zakłopotaniem:

— Faktycznie, rocznica.

— No, widzisz. My o tym pamiętamy, a ty zapomnieliś. W takim dniu kolonialnym handlem się zajmujesz, uliki w ikre kopane koncomanom sprzedajesz, rodzyński ważysz, cynamon zawijasz, mleko zbierane za smietankie ludziem wtrądzasz. To wdowiec żalobny tak robi? Wstydu za grosz w oczach nie posiadasz!

Osierocony kupiec słuchał tego przemówienia z rumieńcem na twarzy, a gdy przyjaciel w dalszym ciągu zaznaczył, że jedynym sposobem wynagrodzenia nieboszczce tej krzywdy moralnej, jest natychmiastowe przerwanie handlu i urządzenie żalobnego bankietu, zgodził się bez wahania.

Wierni druhowie pomogli mu błyskawicznie zasunąć żaluzję i urządzić na bufecie stół biesiadny.

Posłano po wódkę. Najwytworniejsze zakąski stanęły do dyspozycji gości. Wdowiec dwoił się i troił, by przyjąć jak najlepiej kolegów, którzy po roku okazali tyle pietyzmu dla pamięci zmarłej.

Po pierwszych czterech butelkach rozmowa zeszła na tematy pogrzebowe.

— Ciekawa rzecz — zaczął p. Rybs — czy też nieboszczyk w rok po pogrzebie wie, że żyjące ludzie za jego zdrowie gazują?

— Są różne nieboszczyki, które za życia jałopą był, do trzech policzyć nie mogąca, to i w charakterze ducha frajerem się pozostał.

Ale taka na przykład pani Bigosińska, wszystko słyszy i na wszystko baczenie daje.

Jeżeli o wiele, jako osoba żyjąca, z Ochoty na Targówek derożką potrafiła przyjechać, meża w knajpie nakryć, po mordzie parasolką mu nakłaść i do domu odstawić, to co tu dużo gadać, każdemu mało solony ogórek, każde rzodkiewkie, którą teraz rąbami, widzi i liczy.

— Swojem porządkiem ciekawe, coby powiedziała jakby tak mogła przemówić.

— W każdym bądź razie dobrze jest, że nieboszczykom do tromny lasek, parasoli i innej spacerowej galanterii się nie kładzie...

Pan Bigosiński teraz dopiero uświadomił sobie, jakby się zachowała nieboszczka na widok uczyty w sklepie, zdrzął na całym ciele, zalał się łzami i ze słowami:

— Julcia, przebacz! — chwycił ze ściany suchą myśliwską kielbasę i zaczął nią okładać przyjaciół, przynaglając ich do opuszczenia domu żaloby.

Niemile dotknięci tym nietaktem goście ujęli w ręce słoje z ogórkami, skrzynki szprotek oraz syfony. Pękły szyby wystawowe i rzucone przedmioty wypadać zaczęły na ulicę, siejąc popłoch i zniszczenie.

Nadbiegła policja, dyskusję na tematy zagrzebowe przerwano i w rezultacie uczestnicy kontrowersji zarobili po 15 dni aresztu.

W wigilię św. Jana.

Charakterystyczna grupa lotewska w strojach narodowych, biorąca, jak widzimy, czynny udział w ludowych obrzędach święta Jana.



Szczypta humoru

Bardzo była przejęta i powiedziała: „To tak nagle...” * * *

Szkot wchodzi do apteki.

— Proszę mi dać pustą małą flaszeczkę...

— Proszę. Kosztuje dwa pensy...

Twarz Szkota wydłuża się.

— Tylko pusta kosztuje dwa pensy —

cięższa go aptekarz. — Jeśli coś wleję do środka, to flaszeczka za darmo...

— Doskonale. Proszę tam nalać trochę wód. * * *

Pokazywałam ojcu twoje wiersze...

— No i co?

— Powiedział, że jest bardzo zadowolony...

— Naprawdę?

— Tak. Powiedział dosłownie: bardzo jestem zadowolony, że twój narzeczony nie jest żadnym poetą... * * *

— Horoskop pani jest bardzo ciemny... widzę że różni mężowie przeklinają panią i żorzeją pani... * * *

— To dobrze, bo ja jestem krawcową. * * *

— Panie aptekarzu, nie mogę zasnąć. Czy mógłbym dostać jakichś proszków...

— Proszków? Na owady, czy na sen? * * *

Ze złotych myśli A. Engla:

— Kto się na wszystko śmieje, jest głupcem, ale kto się na wszystko uśmiecha, jest filozofem.

— Niedyskretne usta kobiece zamyka się najpewniej pocałunkiem.

— Gdy wielcy bojownicy nie wiedzą za jaką ideą mają umrzeć, życie nie sprawia im przyjemności.

Optymistom w odpowiedzi

Sportowiec jakich wielu

Poniższe uwagi jednego z dziennikarzy Wileńskich na temat „wędrujących” po świecie sportowców, utrzymujących się z datków publiczności, której proponują różnego rodzaju pocztówki — będą aktualne i dla nas, niejednokrotnie stykających się z takimi „gośćmi”.

Onegdaj w cukierni Sztralla znalazłem zadrukowany kartonik następującej treści:

— „Ja, sportowiec z Jugosławii, wyruszyłem w podróż po Europie w 1933. roku. W tym okresie zwiedziłem: Danię, Niemcy, Czechosłowację, Węgry, Austrię, Włochy, Szwajcarię, Francję i Bulgarię.

Obecnie zwiedzam Polskę, następnie kraje Bałtyckie: Łotwę, Szwecję i Norwegię. Celem mojej podróży jest wydanie pamiętnika, oraz ilustracji Świata.

Nie wątpię, iż w WP. znalazłem zwolennika mojej imprezy, który dopomoże mi do ukończenia mojego przedsięwzięcia przez nabycie niniejszej kartki za cenę dowolną, za co zgóry uprzejmie dziękuję.

Turysta
Max Vouk” —

Ponieważ nie miałem sposobności spotkać osobiście pana Maxa Vouka, więc na tym miejscu napisałem parę słów odpowiedzi:

Jest pan optymistą, panie Vouk, jeśli pan sądzi, że znalazł pan we mnie zwolennika „swojej imprezy” i że poprę pańskie przedsięwzięcie. Dlaczego właśnie pan ma podróżować, czy spacerować za darmo po całej Europie, a nie, na przykład, ja? A jeśli już Pan, to dlaczego ja mam za to płacić?

Kierownik wileńskiego Ośrodka Wychowania Fizycznego poinformował mnie, że codziennie nie ma zgłasza się do niego po kilku takich, jak Pan, którzy domagają się potwierdzenia, że tu byli, oraz pomocy materialnej.

Podróżowanie jest jedną z największych radości życia. Setki tysięcy ludzi marzy o tym, by mogli sobie beztrudnie jeździć po świecie. Dlaczego Pan jeden, Panie Vouk, czy kilku takich jak Pan ma to czynić na rachunek tamtych wszystkich?

Zapowiedź wydania Pańskich pamiętników Panie Vouk, też mnie nie wzrusza. Skoro Pan ma pieniądze na podróżowanie, skąd weźmie pieniądze na wydanie pamiętnika, oraz „ilustracji świata”? Czy znowu przyjdzie Pan do nas, gości cukiernianych, domagając się pomocy?

Zaczyna Pan swój manifest żebracki słowami „Ja, sportowiec” —

Słowo „sport” oznacza dla nas coś bezinteresownego w ogóle, a sport zawodniczy, to w naszym pojęciu szlachetny, bezinteresowny wysiłek mięśni i nerwów. Sport zawodowy przestaje być sportem, a staje się zarobkowaniem. Zarobkowanie sportowca zawodowego, Panie Vouk, to dla ludziom płacącym za to albo widowisko, albo nagrodę w danej gałęzi tego sportu.

Natomiast Pan, Panie Vouk, nie daje ludziom absolutnie nic, natomiast chce im Pan zabrać pieniądze.

Dlatego Pańską metodę, Panie Vouk, należałoby gorąco potępić i ostrzegać ludzi przed wspieraniem Pana, niewątpliwie zdrowego, a zapewne młodego człowieka.